Cena zł. 3

KULTURA

pismo poświęcone kulturze radzieckiej

Rok II — Kraków, 15 stycznia 1946 r. — Nr. 1

RADZIECKA LITERATURA LUDOWA

JÓZEF WITTLIN



„Wiadomości Literackie", rocznik 1938

Wśród przedwojennych wydawnictw sowieckich, jest kilka arcydzieł, które różnią się między sobą treścią, układem i stylem, lecz mimo to dadzą się zaliczyć do jednego być może nowego typu beletrystyki. Mam na myśli „Cichy Don" Szołochowa, „Cuszimę", Nowikowa, i Priboja oraz „Szlak Samurajów" Rubinsteina.

Dawno już nie szedł ku nam z książek tak wielki spokój, taka powaga i dostojność. Ten spokój zdumiewa szczególnie w „Donie" i „Cuszimie", gdzie opowiedziane są sprawy wcale nie spokojne. Życie dońskich kozaków nie jest i nie było sielanką, nie była sielanką wojna rosyjsko-japońska, ani wojna światowa. A jednak cicho, majestatycznie toczą się w czasie te dwie wielkie narracje, kołysane szumem wspaniałej rzeki, oceanów i szumem skrzydeł anioła śmierci. (Tego anioła niech mi darują marksiści, jeżeli z ich wyobraźni wygnano już aniołów). Czujemy w tych książkach nieustannie obecność wielkich żywiołów bytu i zniszczenia, stronnice ich przesyca wilgoć ziemi, wody i krwi.

Kto je pisał? Czy autorowie wyszli z ludu i dlatego tak trafnie oddali jego sprawy, czy też wywodzą się z t. zw. inteligencji mieszczańskiej, a owe dzieła to rezultaty wnikliwej obserwacji, intuicji, natchnienia? Gdyby tak było, podziwialibyśmy rzadki w dziejach piśmiennictwa przykład dobrowolnego wyrzeczenia się intelektualizmu, tej, jak utrzymują niektórzy, choroby wieku. Wątpliwości rozpraszają u Nowikowa częste wzmianki o jego chłopskim pochodzeniu, co do Szołochowa nie mamy żadnych wątpliwości. Jeżeli nie sama powieść, to o przynależności jego do kozactwa świadczy wymownie popularna fotografia, na której oglądamy znakomitego pisarza w rubaszce i papasze, zawadiacko włożoną na hardą, chłopską głowę. Nie są nam obojętne personalia tych autorów, interesuje nas bowiem zagadnienie ludowej czy jeśli ktoś woli proletariackiej twórczości ZSRR.

W krajach burżuazyjnych twórczość literacka, artystyczna warstw pracujących fizycznie, też istnieje, lecz ceni się ją głównie od strony dekoracyjnej, egzotycznej, naiwnej, folklorystycznej. Istnieje coś jak gdyby estetyka dożynek i chamstwa, oraz estetyka Kazimierza nad Wisłą cuchnącego w cieniu „Odrodzenia". Z życzliwym pobłażaniem zwykliśmy odnosić się do utworów czarnego lub po łowiecku kolorowego luda. Utwory te uważamy przeważnie za cenny materiał do obróbki „prawdziwych" artystów. Wyzyskuje pieśni, zwyczaje, wierzenia i motywy ludowe na użytek zblazowanych smakoszów. W dzisiejszej Rosji jest nieco inaczej. Tam zblazowani smakosze stanowią publiczność drugiej klasy. Pierwsza klasa publiczności, to masy ludowe, którym nigdy nie imponował własny folklor. Masy nie odczuwają czaru smrodu, ani malowniczości gnojówek. W stosunku do gnojówki nie mają one żadnych złudzeń. Natomiast w dzisiejszej Rosji kształtuje się nowa egzotyka, egzotyka à rebours. Kto wie, czy młodzi adepci sztuki zdobniczej nie przerabiają tam jako ciekawego ornamentu — motywu cylindra, tak jak u nas przerabiano motyw parzenicy. A miłośnika starych pieśni, śpiewanych przez „sfery niższe", zbierają — być może — w celach ludoznawczych zabytki podkasanej Muzy, ulubione kuplety dawnej burżuazji. Nie ręczę też, czy jakaś (mimo wszystko) humanitarna poetka, przejęta niedolą wydziedziczonych, nie pisze wierszy. w stylu Konopnickiej np.: „Jaś nie doczekał..." (powrotu dawnego regimu). Albowiem w tym ktoś inny jest dziś wydziedziczony, a kto inny był nim wczoraj. Masy żądają tam traktowania siebie bez łezki i bez fałszu.

Patrząc na nowe książki sowieckie pod tym kątem, to jest pod kątem głównego spożywcy, musimy w „Cichym Donie" i w „Cuszimie" uznać wysoki gatunek literacki. Ani tematyką, ani technicznym opracowaniem nie różnią się te dzieła zbytnio od tradycyjnych wzorów. Prawdopodobnie obu autorom służyła za wzór powieściowa proza Tołstoja. Nieskomplikowana psychologia, dokładna opisowość, umiar stopniowania afektów. Autorowie nie stosują nowych chwytów, nie wywołują u czytelnika niespodziewanych przeskoków myślowych, unikają skojarzeń, wieloznaczności. Atakują zmysł z siłą i świeżością przyrody.

Beletrystyka sowiecka znana nam do tej pory, wyglądała inaczej. Była to ironiczna, satyryczna, tragiczna literatura zbuntowanych burżujów, a więc ludzi szamotających się ze sobą i z całym tym starym światem, który pragnęli sobie zniszczyć. Pierwsi pisarze sowieccy, to rewolucjoniści, zdyszani walką, pijani zwycięstwem. Dlatego oddech mieli nieczysty, nierówny, rzężący, przechodzący niekiedy w śmiertelną czkawkę, nie tylko w treści, ale w stylu ich utworu wyrażała się rewolucyjna gorączka. W książkach Nowikowa i Szołochowa nie wyczuwa się pasji buntowników. Panuje tam temperatura normalna. Pisali je ludzie nasyceni rewolucją, ludzie, dla których rewolucja jest już tradycją. Książki ich można uważać za pierwsze owoce rewolucji u s t a b i l i z o w a n e j. Stąd ich świeżość, bujność, siła, zdrowie, prostolinijność i jakby radość kształtowania. Pisarzom takim, jak Nowikow, Priboj i Szołochow, nadała zwycięska rewolucja nie tylko prawo głosu, ale i nową godność, powiedziałbym nawet — nową pańskość. Proletariacką. Poznaje się tą pańskość po geście i po tonie. Rewolucja stanowi dla nich ideowe, naturalne, dziejowe podglebie, nie widać jej na powierzchni. Ustabilizowana rewolucja pozwoliła swym pisarzom odnosić się do niej samej z dystansem, którego brakło u dawniejszych autorów sowieckich, piszących na dymiącej barykadzie.

W „Cichym Donie" i „Cuszimie" znajdujemy jasną odpowiedź, na pytanie: dla kogo książki te zostały napisane. Dla wszystkich. Z tym samym zadowoleniem przeczyta je sowiecki chłop i robotnik co zachodnio europejski „inteligent". Są to bowiem książki ludowe w tym sensie, co słynne średniowieczne „Volksbucher" o drze Fauście, Gryzeldzie, o księciu Erneście szwabskim. Ludowe — w imię powszechności i ważności wzruszeń, które prowodują. Tematem utworów niedostępnych dla ludzi pracy fizycznej bywają, nazbyt często — wewnętrzne przygody jednostek wyjątkowych. Trudno wymagać od robotnika, aby się przejmował losami Guermantes'ów przynajmniej na razie. Bo losy bohaterów Szekspira nie są mu już obojętne. Kto wie, czy kiedyś po wszystkich udanych piatiletkach, po nasyceniu głodu i niedostatków ciała, po skróceniu czasu pracy, nie zapanuje i w ZSRR powszechny głód wrażeń luksusowych, których nie zaspokoi już lektura o sprawach pierwotnych? Może proletariusz, w trzecim pokoleniu, wychowany w dobrobycie, dorośnie do lektury Valery'ego i Gide'a?

W obecnej chwili godziwą lekturą dla mas stanowią książki takie, jak „Don" i „Cuszima". Okazuje się, że pisarze w Rosji liczą się dokładnie z wrażliwością swoich czytelników i znają granicę tej wrażliwości. N. b. — o ile granice ludzkiej wrażliwości dadzą się wogóle wyznaczyć. „Cichy Don" nie wymagają od czytelnika wielkiego wykształcenia, można z równym pożytkiem odczytać je i analfabetom. Tu dotykamy bardzo dla nas ważnego zagadnienia. Dla kogo właściwie piszemy? Dla garstki o wykształceniu podobnym do naszego. Zwłaszcza na bliskim zachodzie istnieje olbrzymia dysproporcja między pisarzem intelektualistą a czytelnikiem. Żeby zrozumieć np. ostatnie wielkie dzieło Thomasa Manna „Józef i jego bracia" — należy znać nie tylko Biblię, ale i astrologię egipską, chaldejską, babilońską. Najlepsze książki zachodnie pełne są aluzji do całej minionej kultury ludzkości. Kto temu sprosta? Przesubtelny Giraudougs jest na bliskim zachodzie niemal nieznany. Jedyna jego książka świetnie tłumaczona na język polski przez Kuncewiczową nie miała powodzenia.

Szczęśliwego Nowego Roku życzy Czytelnikom Redakcja „Kultury"

Nasze piśmiennictwo dla ludu naogół hamowało jego rozwój. Obok pornografii i senników częstowano nasz lud bajeczkami dla grzecznych dzieci. Jego wiedzę o świecie kształtowano metafizycznie, była to oczywiście metafizyka dla niezamożnych. Zdaje się, że naszemu ludowi, zwłaszcza na wsi, ciągle jeszcze każe się wierzyć w to, że dzieci, które płodzą, przynosi bocian.

Literatura sowiecka dla mas wolna jest od bocianów. Rozumie się samo przez się, że i od metafizyki. Być może, że jeszcze kiedyś do niej wróci. Lecz nie bawmy się w proroctwa tam, gdzie nowe życie rozwija się na podstawie kalkulacji. Życie to hardo stoi po stronie „materii". Na „ducha" wstydliwie rzuciło czerwoną zasłonę. Narazie dobrze mu bez niego.

Przypatrzmy się teraz książkom, które pobudziły nas do powyższych dywagacji. Najpierw „Cichy Don". Zawiera ona samą, jeśli tak wolno rzec — miazgę życia kozaków dońskich i w czasie wojny i w czasie pokoju. Książka napisana z temperamentem ogiera aż kipi od namiętności ludzi napół dzikich, napoły delikatnych i sentymentalnych. „Fabułę" jej stanowią dzieje rodziny Mellechowów w chutorze tatarskim. Jest to rodzina zamożna jak niemal wszystkie nad Donem. Biologiczna strona ich bytu została oddana z niezawodnym mistrzowstwem. Miłość, nienawiść, zazdrość, ziemia, chciwość — odwieczne ludzkie sprawy. A jednak wydaje się nam, że pierwszy raz o tym czytamy. Obok kozaków wprowadził Szołochow wielu ludzi z innej sfery. Wszystkie te postacie kąpią się w blasku słońca i odbijają w wodach Donu. W drugim tomie, mamy wojny, szarże kozaków na froncie galicyjskim i na Wołyniu, szpitale. Główny bohater Gregory Mellechow, po zarąbaniu dwóch Austriaków, doznaje wstrząsu sumienia, traci dzikość, wojna napełnia go odrazą. W dalszych tomach będzie protagonistą rewolucji na „Cichym Donie".

Lektura „Cuszimy" przypomina lekturę Xenofonta. To też jest „Anabazis", ale nie ku zwycięstwu, którego nadzieja zwykła towarzyszyć każdemu, nawet najsłabszemu wojsku, każdej flocie wyruszającej w bój. Eskadrze admirała Rożenstwieńkiego Od pierwszej chwili towarzyszy pewność zagłady. Jest to najcięższy balast, z którym płynie ta eskadra złożona z około pięćdziesięciu statków, i dwudziestu tysięcy ludzi. Wszyscy marynarze i większość oficerów wie, że ta droga na wschód, jest to droga na stracenie. Tylko jeden dowódca pływającego miasta zdaje się o tym nie wiedzieć. Ani jego okręt, ani jego załoga nie są przygotowane do walki. W ostatniej chwili tuż pod nosem nieprzyjaciela urządza się ćwiczenia bojowe, których rezultaty są opłakane. Dzieje tej ponurej wyprawy opowiedział z podziwu godnym spokojem, taktem i epicką plastyką, jeden z nielicznych jej uczestników, którzy wyszli cało

KONSTANTY SIMONOW

ZABIJ GO!

Jeśli drogi ci jest twój dom,
W którym wzrosłeś wśród miłych i bliskich,
Gdzie płynąłeś, żeglując ku snom,
Kołysany falami kołyski;
Jeśli drogie ci są jego ściany;
Piec i kąty i pułap drewniany
I podłoga pod stopą skrzypiąca,
Wydreptane przez dziada i ojca;
Jeśli kochasz ogródek z malwami,
Słonecznikiem i brzęczeniem pszczół,
I przed wiekiem do ziemi wkopany
Przez pradziada pod lipą stół.
Jeśli nie chcesz, by przy tym stole
Zasiadł, warcząc, niemiecki złodziej,
By pustoszył twój dom, twoje pole,
I gałęzie łamał w ogrodzie;
Jeśli starą twą matkę czcisz,
Tę pierś, którąś ssał niemowlęciem,
Już wyschniętą, bez mleka dziś,
Lecz przytulić się do niej — to szczęście;
Jeśli nie chcesz, by Niemiec — zbir
W twojej chacie do matki skoczył
I po twarzy zmarszczonej bił,
Okręciwszy kułak warkoczem;
Jeśli nie chcesz, by te same ręce,
Co w kołyskę kładły cię czule,
Teraz łóżko ścieliły Niemcom
I plugawe prały koszule;
Jeśliś ojca w pamięci zachował,
Co cię brał na barana i woził,
Ojca, który w Czternastym wojował
I śmierć znalazł w karpackim wąwozie;
Jeśli nie chcesz, by ten, który zginął
Za twój kraj, i z myślą o tobie,
Widmem gniewnym z grobu wypłynął,
Bo spokoju nie ma w tym grobie;
Jeśli nie chcesz, by Niemiec butami
Fotografię podeptał jedyną;
Twarz najdroższą, pierś z medalami,
Dumę twoją i miłość matczyną;
Jeśli serce się kraje na myśl, że
Nauczyciel twój, druh najpoczciwszy,
W szubienicznej pętli zawiśnie,
Siwą głowę na pierś zwiesiwszy;
Że za wszystko, co w serce chłopięce
Wpoił tobie i twym przyjaciołom,
Niemiec chude połamie mu ręce
I powiesi na słupie przed szkołą;
Jeśli nie chcesz na pohańbienie
Oddać tej, którą tak kochałeś,
Żeś nie ważył się objąć ramieniem,
Pocałować długo nie śmiałeś;
Jeśli nie chcesz, by najmilszą twą
Trzej napadli, lubieżnie rżąc,
Obnażyli, rzucili w kąt
Na torturę pijanych żądz:
Żeby w łzach, nienawiści, krwi
To przypadło tym wściekłym psom,
Czego strzegłeś ze wszystkich sił
Całą męską miłością swą;
Jeśli nie chcesz, by Niemiec-zbój
Zabił wiarę i mowę twej ziemi,
Grabił dom i dobytek twój,
Wszystko to, co Ojczyzną zwiemy
— Wiedz, że nic Jej nie uratuje,
Jeśli TY Jej nie uratujesz.
Wiedz, że nikt go nie zamorduje,
Jeśli TY go nie zamordujesz!
I dopóki go nie zabiłeś,
Wara tobie od czułych wyznań!
Kraju, domu, gdzie dzieckiem byłeś,
Nie nazywaj swoją ojczyzną!
Jeśli Niemca zabił twój sąsiad,
Jeśli Niemca zabił twój brat,
To nie ty, ale ONI mszczą się,
Nie na ciebie ten zaszczyt spadł.
Nie wykręcaj się nimi. SAM zabij.
To nie zamsta, gdy cudzy karabin.
A więc zabij, go, zabij, by ON
Czarną ziemię gryzł, a nie ty,
Nie twój, ale jego dom
Niech zaleją sieroce łzy.
Nie ty chciałeś tej wojny, lecz on,
Jemu zdychać za winę, nie tobie
Jego zwłokom pogrzebny dzwon,
Jego żona niech chodzi w żałobie,
Jego matka niech szlocha w rozpaczy,
A więc zabij go, zgładź go ze świata,
Ile razy psubrata zobaczysz,
Tyle razy go zabij, psubrata!

Tł. Julian Tuwim

z bitwy pod Cuszimą. Autor służył na pancerniku „Orioł" jako podoficer prowiantowy. Widział jednak wszystko co się działo na pancerniku w czasie długiej podróży i w czasie bitwy. Siła jego relacyj jest tak sugestywna, że czytelnik już po kilkunastu pierwszych stronach czuje się już członkiem załogi „Orła". Co więcej — czujemy się częścią składową samego okrętu, wrastamy w jego żelazo, działa, wieże pancerne, komory amunicyjne. Osobliwie działa w tej książce zestrojenie dwóch rytmów: żeglugi i opowiadania.

Płynie „Orioł" i płynie opowieść. Płynąc z Nowikowem na „Orle" dzielimy jego sympatie i obawy. Solidaryzujemy się z każdym buntem gdziekolwiek w eskadrze wybucha, krzywda bitych i maltretowanych marynarzy jest naszą krzywdą. Nasza wyprawa na „Orle" trwała od 17. IX 1904 do 14. VI 1905 r. Pół świata opłynęliśmy z macierzystego portu w Kronstacie. Przepłynęliśmy cały Atlantyk, Ocean Indyjski, Spokojny. Najjaśniejszym epizodem w tej podróży był dłuższy postój na Madagaskarze. Aż na wodach Japońskich musiało nas spotkać to, co nas spotkało. Morza Japońskiego nie mogliśmy ominąć, ale do Władywostoku, zdaniem autora i zdaniem najmądrzejszych oficerów eskadry, trzeba było dostać się przez cieśninę La Perouse'a. Wszyscy się tego spodziewali. Różostwienskij wybrał jednakże najgorszą z trzech dróg: przez cieśninę Korejską z Cuszimą pośrodku. I przyjął tam bitwę, którą Nowikow zalicza do czterech największych bitew morskich w dziejach ludzkości. Pierwszą stoczono pod Salaminą w r. 480 po Chr., drugą pod Lepanto w r. 1571, trzecia to Trafalgar w r. 1705, czwarta Cuszima. Przebieg jej opisuje Nowikow drobiazgowo. Jakkolwiek centrum obserwacji stanowi oczywiście „Orioł", mimo to autor nie traci łączności w czasie bitwy z tym, co się dzieje w eskadrze. A dzieją się rzeczy straszliwe, przewidywane przez każdego rozsądnego marynarza. Z klęski Cuszimskiej musiała zdać carska władza krwawy rachunek swojemu ludowi.

Runęło cesarstwo rosyjskie, w którym Japonia sprzymierzona w l. 1914—1918 wspólnie walczyła przeciw Niemcom! Zwycięskie okręty admirała Togo zestarzały się w dokach, niezdolne do boju. Wymierają uczestnicy wojny 1904—1905, władzę w Rosji sprawują zbuntowani marynarze II eskadry. Nie zestarzał się dawny antagonizm Japonii i Rosji. Wrogiem japońskiego cesarza jest nie tylko cesarz rosyjski. Jest nim sam lud. Stara nienawiść nie rdzewieje. Bujnie zakwita na tej samej mandżurskiej ziemi, gdzie krwawiły ongi armie Kuropatkina, Leniewicza i gen. Nogi.

Od r. 1904 rozrasta się w Europie legenda japońskiego żołnierza. Tę legendę burzy „Szlak Samurajów" Rubinsteina. Piękna ta i zwięzła książka należy do innego gatunku, niż omówione poprzednio. Pisał ją intelektualista. Nie jest to epopea, lecz szereg nerwowych scen z życia armii japońskiej na froncie mandżurskim oraz w okopach. Niektóre sceny „Szlaku" można pod względem napięcia zestawić ze słynną „Codition humaine" Malraux. Ta sama nerwowa atmosfera. Lecz psychiki ludzkie są tutaj mniej skomplikowane. I perspektywy węższe. Jest to książka prawdziwie marksowska. Uzbrojony w pewniki materialistyczne, autor zgrabnie demaskuje metafizykę japońskiej armii, demaskuje słynny idealizm żołnierza, okazując kruchość jego podstaw. Lekkim piórem przewraca oba fetysze: japońskiego boga i ojczyznę, która też jest bogiem. Zdaniem Rubinsteina żołnierz japoński, pochodzący jak każdy żołnierz — głównie z warstw ludowych cierpi w cywilu głód i dlatego tak chętnie służy w wojsku. Kult cesarza i ojczyzny narzuca mu uprzywilejowana kasta oficerów. Wojskowe wychowanie opiera się na takich zasadach np. „armia cesarska oczyści świat ze śmierci". Żółta rasa musi ocalić świat. Amerykanie wymyślili humanitaryzm, a Rosjanie bolszewizm, lecz poglądy te są błędne. Świat ocali męstwo żółtej rasy. Chińczycy nie należą do żółtej rasy. Aby wyzwolić Chiny, trzeba wyzwolić Mandżurię. Aby wyzwolić Azję, trzeba wyzwolić Chiny. Wtedy pozostaje nam dzieło wyzwolenia Indii, Australii, Europy". Zasady te głosili nie tylko oficerowie, ale i kapłani. W każdym pułku urzędowała komisja „do walki ze szkodliwymi myślami". W każdej kompanii miała ona szpiegów i prowokatorów. Kompania należy do 71 strzelców chimeldzyńskich. Otrzymała zaszczytną nazwę „Kompanii Samurajów" za operacje w Mandżurii. Dźwięk kompanijnej trąbki w myśl regulaminu, przypomina im na każdym kroku o błogości umierania, lecz żołnierze kompanii samurajskiej pragną żyć, szczególnie, gdy przekonują się, iż cesarz każe im strzelać nie tylko do wrogów ojczyzny, lecz do bezbronnych chłopów chińskich i do własnych zbuntowanych obywateli.

Po mandżurskich bojach w mrozach i tyfusie zostało przy życiu zaledwie 47 żołnierzy. Wszyscy, którzy pod koniec książki jeszcze żyją, zostają komunistami i giną od kuli japońskiego kulomiotu.

Autor okazał się wirtuozem penetracji dusz tak złożonych i napozór nieprzeniknionych, jak dusze japońskich oficerów. Piękne są rozdziały czysto żołnierskie.

Nie ulega wątpliwości, że „Szlak Samurajów" jest książką tendencyjną. Zamiarem autora było zapewnić, przekonać sowieckiego czytelnika, że japoński diabeł nie taki straszny. I że to, co uchodzi za jego siłę, jest właściwie słabością. Jednak przyznać trzeba, że niezależnie od wartości agitacyjnej, książka jest dziełem wybitnego talentu.

WSPOMNIENIA SPADOCHRONIARZA

KAPITANA PIETROWA

SPISAŁ

JAN ROSIŃSKI

„Od kilku dni byliśmy gotowi i czekaliśmy tylko aż ciemne noce deszczowe, nie sprzyjające wysadzaniu desantów, ustąpią i okres niepogody minie. Nadszedł wreszcie słoneczny dzień lipcowy, którego wieczór był gwiaździsty, niebo czyste, o lekkim wietrze wschodnim; wymarzony czas do podniebnej wędrówki ponad frontem. O godz. 22.30 odbył się start. Trzydziestu pięciu zuchów, co pożegnali się już z towarzyszami, z Mateczką Rosją, od której miał ich teraz, niewiedzieć jak długo oddzielać front, — w ubraniach cywilnych ulokowało się na dwugodzinną przejażdżkę samolotem. Wystartowaliśmy. Front w danej chwili był pozornie spokojny, to znaczy artyleria nie „pracowała". Z wysokości można było jednak zaobserwować pojawianie się małych gałek ognia, które po chwili ciemność z powrotem przytłumiała. Skoro tylko minęliśmy stukilometrowy odcinek podfrontowy w strefie niemieckiej, wszyscy z napięciem czekali rozkazu — do skoku w dół, na obcą ziemię. Grzbiety Tatr zamajaczyły ciemnymi kształtami. Samoloty obniżyły lot. W dole pod nami leżały ciemne, zwarte plamy lasów Podkarpacia i śpiące wioski. Major Dołożyn orientował nas w mapie. W chwili, gdy z dala zamajaczyła pusta brunatna przestrzeń, uścisnął mi dłoń i rzekł:

— Do zobaczenia! Towarzyszu kapitanie!

Wyskakiwaliśmy jeden po drugim. Brunatna przestrzeń okazała się obszerną, trawiastą polaną. Była godzina pierwsza czterdzieści (1.40), gdy zgromadziliśmy wszyscy na skraju lasu, dźwigając dwie iskrowe stacje nadawczo-odbiorcze, liczny zapas amunicji, tiol (materiał wybuchowy), granaty przeciwpancerne i automaty. Zorientowanie co do kierunku trwało zaledwie kilka minut. Rozciągnięci długim szeregiem, posuwaliśmy się błotnistą drogą leśną, ubezpieczając się ze wszystkich stron na wypadek spotkania Niemców. Po pół godzinie marszu dotarliśmy do chat, które jak kilka małych punkcików widniały na naszych mapach sztabowych. Pies oszczekiwał nas jak złodziei. Sasza tłukł się w ciemne okna śpiących chat. Jakiś gruby głos odburknął mu, ale drzwi się otwarły i weszliśmy do chaty rozjaśnionej kagankiem. Izba była obszerna. Spod pierzyn wyglądały głowy o potarganych, lnianych włosach, gospodyni, dziewczęcia, i spod kapoty starego chłopa. Mężczyzna, który nam otworzył, był to chłop rosły o podkopconych nikotyną wiechach wąsów. Wyjaśniłem mu:

— Nie bójcie się gospodarzu, my jesteśmy Rosjanie — przekręcając rodzinną mowę znanymi mi wyrazami polskimi, by lepiej mógł mnie zrozumieć.

— Ja znaju ruski jazyk (Ja znam język rosyjski) — odparł, machnął ręką, usiadł i poczał kręcić papierosa.

— Jak nazywa się ta wieś? — pytałem.

— Śmietanowa.

— Dobrze! — rzekłem, rozkładając mapę — a wyjaśnijcie mi, jak nazywa się najbliższe większe miasteczko?

— Sułkowice. Myślenice!

Po chwili byłem już doskonale zorientowany w położeniu.

— A Niemcy? Gdzie tu najbliższe ich placówki?

— W Myślenicach!

— Ileż to kilometrów?

— Półtora mili!

— Tu nie zaglądają?

— Tu?... — popatrzył na mnie dziwnie, ale odparł: — Nie! Boją się! Tu lasy! Niemiec w las nie pójdzie, chyba żeby ich było tysiące.

— Zostaniemy tu na resztę nocy. Pościelcie nam słomą i niech gospodyni przyrządzi coś do zjedzenia!

Wzruszył ramionami.

— Bieda u nas. Chyba wam kartofli naskrobię i ugotuję...

— Zgotujcie nam kawy!

— Nie mam!

Dobrze, że Wela miała ze sobą puszkę herbaty. Po pół godziny piliśmy „czaj", zajadając suchary. Niebo jaśniało już zorzą poranną, gdy wszyscy pokładli się spać. Dwóch tylko wartowników wystawiłem przy dwóch oknach na strychu, skąd można było wspaniale ogarnąć okolicę i wioskę, leżącą hen, wdole poza pasmem lasu.

Byliśmy sami. Sami w obcym kraju, poza frontem, jakiś smutek gniótł dołek, że długo nic zobaczą kolegów sztabowych, ale za to płuca, po tej jednej nocnej wędrówce od miejsca lądowania, aż do tych chat, przyzwyczaiły się do szerokiego oddechu lasów, pachnących żywicą i samotność właśnie spotęgowała we mnie poczucie własnej siły. Lasy te i górzysta okolica przypomniały mi rodzinny Kaukaz, który opuściłem przed czterema laty. Wszyscy posnęli, ja zaś wypytywałem się dokładnie gospodarza o wszystko, co mogło nam być potrzebne w pierwszych chwilach, w całkowicie obcym terenie, zanim przetrząśniemy go sami.

Zaczął się dla nas teraz okres wytężonej pracy. Po kilku dniach, które poświęciliśmy gruntownemu zbadaniu okolicy, pożegnaliśmy chłopa (jak się dowiedziałem, jeńca rosyjskiego z 1916 roku) i nocą odskoczyliśmy o kilkanaście kilometrów, gdzie odkryłem wymarzoną „melinę", z dala od miasta, na wzgórzu dającym widoczność, gdzie ledwie kilka chat tworzyło familię, okrążoną ze wszystkich niemal stron niezwykle gęstym lasem świerkowym, który ciągnął się nieprzerwanym pasmem aż ku Słowacji z jednej, a małymi, ostatnimi swymi odnogami z drugiej strony dotykał Wisły. Z tej to nowej meliny, która nazywała się Chojówka, gdzie prawie książęcego doznaliśmy przyjęcia, wysłałem patrol w sile pięciu ludzi wraz z przewodnikiem, miejscowym chłopakiem, ku Turbaczowi, aby nawiązać wszędzie nici szeroko obmyślonej akcji dywersyjnej. Patrol po dwóch dniach wrócił, przynosząc ze sobą jeden zdobyczny automat niemiecki, dwa karabiny i tyleż pistoletów. Po drodze, na ulicy małego miasteczka natknął się niespodzianie na patrol żandarmerii niemieckiej. Piotr Aleksiejewicz, idący pierwszy, położył ich trzech jedną serią (nie wystrzeliwując całego półksiężycowego magazynka pepeszy). Było to pierwsze spotkanie naszej grupy z Niemcami.

Zbadawszy dokładnie słabe w kontrolowaniu a dogodne w skutkach dywersyjnych punkty linii kolejowej Kraków—Oświęcim i czas transportów, dokonaliśmy tam wysadzenia pociągu, jadącego na front. Ładunek założyliśmy zaledwie piętnaście minut przed czasem przejazdu transportu, aby akcji nie udaremniono i odeszliśmy niedaleko, ledwie kilometr, gdy z dali dał się słyszeć odgłos zbliżającego się pociągu. Ślepia latarń żarzyły się lekko, z komina buchały gęste kłęby dymu, barwiące się na czerwono od otwartego paleniska. Kilometr od miejsca, gdzie ładunek, przyłożony do obu szyn czekał, aż dobiegnie doń iskra i wstrząs detonatora, maszyna z drobnym wężykiem pary wyrzuciła przeraźliwy, cichnąc w dali gwizd, który wydał mi się drgający rzewną, zbolałą nutą i jak dotąd miałem wątpliwości, czy spłonki położone na szynach i lekko przywiązane drutem nie zesuną się, tak teraz poczynałem wierzyć, miałem pewność, że pociąg ten — to już sunący trup. Z podnieceniem wraz z innymi śledziłem jego bieg. Już, już wydało mi się, powinien był wylecieć w powietrze. Jeszcze wątpliwość zdołała raz ugryźć w serce, gdy w tym buchnął ogromny krzak ognia, sięgając niemal językami gwiazd drogi mlecznej, a kilka środkowych wagonów, w naszych oczach rozlatywało się w kawałki, jak dojrzały kwiat mleczu, w który malec dmuchnie. Przeraźliwy huk, od którego zadrgała ziemia pod nogami i wstrząsnął się las, z taką siłą wtargnął do naszych uszu, że jeszcze w długi czas później, gdy borem przebieraliśmy się ku melinie, bębenki uszne grały dzwonkami i szumem. Pociąg opadł na szyny. Kilka wagonów stoczyło się ze szkarpy i lokomotywa traciła swą siłę pary przez gwizd, który rozpoczął się w sekundzie po wybuchu i ryczał długo i coraz słabiej wywołując swym piskliwym i przeraźliwym głosem podobieństwo wołania o pomoc — aż zamarł wśród przeźroczystej ciemności gwiaździstej nocy. Nie czas było przyglądać się kilku wagonom, które stanęły w ogniu i eksplodowały. Ruszyliśmy naprzód i zginęliśmy w lesie, by jak najprędzej odskoczyć z zagrożonego terenu w „zapiecek", jakim była nasza przytulna kwatera. O trzeciej nad ranem stanęliśmy na miejscu. Dzień budził się pierwszymi blaskami zorzy. Zaraz towarzyszka Róża iskrówką nadała do sztabu wiadomość „Transport wojskowy na linii... został wysadzony dnia..."

Z ciekawością czekaliśmy wiadomości ustnych, zwykle przesadzonych, lecz opisujących oblicza niemieckie i podających fakty, jakie zaszły w związku z wysadzeniem. Niemcy nie przypuszczali, że sabotaż ten został wykonany przez wojska sowieckie, operujące oddziałami na tyłach frontu. Po niedługim czasie, gdy planowość wysadzeń stała się aż nadto widoczną, niewątpliwie doszli do tej konkluzji. O wysadzenie owo posądzono AK. Najważniejszym następstwem dywersji było wstrzymanie ruchu kolejowego na przeciąg 36 godzin. Transporty broni i amunicji musiały czekać aż szczątki wagonów zostaną usunięte i nowe szyny będą założone. I żołnierz niemiecki, już bez wiary w zwycięstwo, musiał czekać tam, na froncie, gdzie katiusze grzmiały, na żywność czy amunicję, lub sztab był zmuszony wydać zapasową, co niewątliwie wprowadziło zamieszanie, albo narazie jego wrażenie. Częściej teraz miały wylatywać w powietrze nie tylko transporty, ale i mosty drogowe i kolejowe. Byliśmy jedną małą grupą, wykonywującą gigantyczny plan stworzenia z innymi grupami, kryjącymi się po lasach — frontu na zapleczu. I byliśmy dumni z każdego udanego sabotażu i z tego, że jesteśmy jednymi z wielu.

Przebiegając teren, czy w drodze na „robotę", spotkałem w jednej z terenowych grup partyzanckich trzech Rosjan, zbiegów z obozu koncentracyjnego, których przyjąłem. Znalazł się nawet między nimi jeden stary wiarus, rodak, pochodzący ze wsi, odległej od mego miasteczka o 200 kilometrów, leżącej na Kaukazie. Lecz cóż znaczyło owe kilkaset kilometrów, zdala od domu, ojczyzny; ucieszyłem się jakbym spotkał sąsiada o miedzę.

Po jakimś czasie rozbiłem grupę na trzy części, które stacjonowały na trzech zboczach jednego wzgórza, tworząc jakby forty, czujki, bez wiedzy których nie sposób było się na nie dostać. Nie o to mi chodziło, lecz przy takim rozmieszczeniu nie musieliśmy obawiać się zaskoczenia, względnie otoczenia. Ludność, z którą dzieliliśmy się zdobyczami przyniesionymi z Rzeszy, biedna ale zacięta i harda, niezłamana przemocą ludność, rozumiejąca nasze ideały — pomagała nam całym sercem.

Termin nadsyłania

prac na konkurs

ogłoszony w 1-ym Nr. „Kultury"

został przedłużony

do dnia 1-go lutego br.

SERGJUSZ JESIENIN

Jam znowu wśród rodzinnych pól...

Jam znowu wśród rodzinnych pól,
ma ziemio rzewna a tęskliwa!
Zmierzch kędzierzawy kędyś w dół
białawym tchnieniem cicho spływa.

Siwizny pochmurnego dnia
skłębione mimo wiater żenie —
i smęt wieczorny — tak do dna
mnie wzburza nieprzezwyciężenie.

Już niżej cień od góry padł
na wież cierkiewnych blade wieńce.
O, druchy mych dziecięcych lat,
nie ujrzę was już nigdy więcej!

Za rokiem w otchłań pada rok,
i wy minęli w ślad tym latom...
Jeno, jak dawniej, woda w mrok
za młynem szemrze ci skrzydlatym.

I nieraz w przedwieczornej mgle,
pod trzask łamanych łóz z nad rzeki,
dymiącej ziemi modlę się
za bezpowrotnych i dalekich.

*

O wieczorze różowym zadumana droga...
Jarzębin krzewy ponad głębie mglistsze,
Staruszka chata — żuchwą proga
żuje pachnący miękisz ciszy.

Jesienny chłód, łagodnie tak, ukosem
pod bróg owsiany mgłami się zaczaja.
Skroś modrość szyb pachole złotowłose
wzrok wypromienia na kawek igrania.

Z różowej jamy błyska po nalepie
zielony popiół, co za się przydrzemnął,
a kogoś nie ma, i wiatr co dmie w stepie
o kimś-ci szepce w noc zgubionym ciemną.

Stopami komuś nie mięć już nigdy po borach
strzępina liści i złotych traw skupień.
Westchnienie ciężkie, grożąc się z wieczora,
całuje sowę nastroszoną w dziób jej.

Wciąż gęstszy mrok, w oborze ciem i cichość,
białawą ścieżką śliski rów się znaczy.
I rzewnie poczną źdźbła jęczmienne wzdychać
zwisając z mokrych gęb wołów — braczy.

Tłum. *Bogdan Żyrański*

M. TICHONOW

BOHATERSKI LENINGRAD

1

Od pierwszego dnia wojny radziecko-niemieckiej przygotowywało się hitlerowskie dowództwo do zadania Leningradowi uderzenia o ogromnej sile. To posunięcie imperializmu niemieckiego miało cel nie tylko wojskowo-strategiczny, lecz i polityczny.

Niemcy, którzy nienawidzą wszystkiego tego, co rosyjskie, których celem jest zniszczenie wszystkiego co rosyjskie, którzy liczyli na moralne załamanie się narodu radzieckiego, oczywiście, musieli zwrócić swe drapieżne oczy na miasto Lenina.

Leningrad — to miasto, które nazywają kolebką Rewolucji Październikowej, to miasto, w którym tworzono podwaliny Państwa Radzieckiego, Czerwonej Armii, to miasto starej Gwardii robotniczej, pochodnia rosyjskiej narodowej kultury.

Słusznie nazywano Leningrad arsenałem socjalistycznego uprzemysłowienia. Płynęły stąd nieprzerwanym potokiem maszyny, instalacje dla nowych budowli pięciolatek stalinowskich. Ręce robotników leningradzkich zaopatrywały w maszyny potężne elektrownie, szyby naftowe i kopalnie. Leningrad dawał 12% ogółu produkcji przemysłowej Związku Radzieckiego.

Leningrad — to brama wypadowa na Północ. Stąd prowadzą drogi do morza Białego i oceanu Lodowatego, do Arktyki, z której uczyniliśmy zamieszkały przez ludzi obwód Związku Radzieckiego, obwód, w którym dzięki wysiłkom i staraniom ludzi radzieckich zbudowano nowe drogi, stworzono nowe osiedla. Niemcy chcieli nam zabrać ten klucz, który otwiera drogę na północ. Opanowanie Leningradu uczyniłoby z morza Bałtyckiego — morze niemieckie, pozbawiłoby nas bałtyckiej Floty Czerwonej, podniosłoby znakomicie na duchu białofińskich sojuszników Hitlera i umożliwiłoby Niemcom rozpoczęcie natarcia na Moskwę z północy, wzdłuż Oktiabrskiej Kolei Żelaznej, głożąc Rybińskowi i Jarosławlowi i odcinając Północ od pozostałej Rosji.

Zazdrosne ślepia bandytów faszystowskich patrzyły z zawiścią na bogactwa wielkiego miasta. Tutaj zamierzał Hitler przygotować swym wojskom syte i ciepłe legowisko zimowe.

Już zawczasu Niemcy głosili wszem wobec o swych planach błyskawicznego zdobycia Leningradu. Przypuszczali oni, że bez specjalnych trudności znajdą się pod miastem, że opanują je jakby z rozpędu.

Pod koniec sierpnia 1941 r. hordy niemieckie nacierały na Leningrad z trzech stron: ze strony Kingiseppu, Ługi i Tosno.

Stanęły przeciwko Leningradowi trzydzieści dwie dywizje piechoty, cztery zmotoryzowane dywizje, cztery dywizje czołgów, brygada kawalerii — ogółem ponad 300 tysięcy hitlerowców. Te hordy miały 6 tysięcy dział, 19 tysięcy ręcznych, lekkich i ciężkich karabinów maszynowych, 4500 moździerzy, tysiąc czołgów. Armia powietrzna, w której skład wchodziły trzy korpusy pod dowództwem generała-pułkownika lotnictwa Kellera, liczyła tysiąc samolotów bojowych.

Zaczęła się zaciekła, nieprzerwana walka o Leningrad. Niemcy, nie licząc się ze stratami, parli naprzód. Walki trwały we dnie i w nocy. I gdy wojska niemieckie zaczęły posuwać się w kierunku Leningradu, kiedy toczyły się walki jeszcze w rejonie Pskowa, cały Leningrad stanął na nogi. Setki tysięcy leningradczyków wyszły z miasta, by budować fortyfikacje.

Pracowali leningradczycy, począwszy od jeziora Ilmeń, od Kingiseppu i Ługi — aż do samych przedmieść miasta. Ręce nawykłe do czegoś zupełnie innego, ujęły żelazne drągi, łopaty, topory i piły. Byli tutaj metalowcy i architekci, budowniczowie okrętów i artyści, włókniarze i inżynierowie chemii, pisarze i studenci, profesorowie i uczniowie. Świat ujrzał nową postać bohatera leningradczyka, kopacza ziemi. Pracował ten robotnik bez wytchnienia, pracował we dnie i w nocy, w deszcz i niepogodę, pracował nie lękając się obstrzału i bombardowania. Niektórzy z nich zginęli, chowano ich z honorami wojskowymi, lecz miasto było już ufortyfikowane. Ludzie wracali zmęczeni, głodni, ziębnięci, ale z sercami rozgrzanymi radością: i oni wnieśli swą cząstkę do dzieła obrony.

Wykopali rowy przeciwczołgowe o długości 626 kilometrów. Zbudowali szkarpy na przestrzeni 406 kilometrów. Na przestrzeni 306 kilometrów przygotowali zapory leśne, zbudowali 15.000 DZO i DZGO. Tylko na ulicach miasta i placach wystawili 35 kilometrów barykad.

300 tysięcy leningradczyków wyszło na posterunki obrony przeciwlotniczej. W każdym domu powstawał garnizon, budowano schrony, rowy, sprawdzano posterunki, utrzymywano porządek na ulicach, gaszono bomby zapalające, uprzątano rumowiska zniszczonych przez bomby domów, opanowywano całą techniczną stronę obrony przeciwlotniczej. Nikt obcy nie mógł bezkarnie przedostać się do domu. Nawet dzieci wykrywały dywersantów i spadochroniarzy. Miasto było zaciemnione. Na ubraniach przechodniów zjawiły się świecące znaczki — symbol tego, że w domach z czarnymi jamami okien — czuwają, że w ciemnościach miasto żyje i pracuje nieprzerwanie i uparcie dla obrony.

Mieszkańcy składali na fundusz obrony Państwa złoto, srebro, pieniądze, drogocenne kamienie, oddawali pamiątki rodzinne, podarunki — nie żałując niczego, jeśli szło to na obronę. Wrzała walka już u bram Ługi, a w mieście kończono jeszcze budowę nowych domów — charakterystyczny przejaw nastroju w tym okresie. Życie trwało.

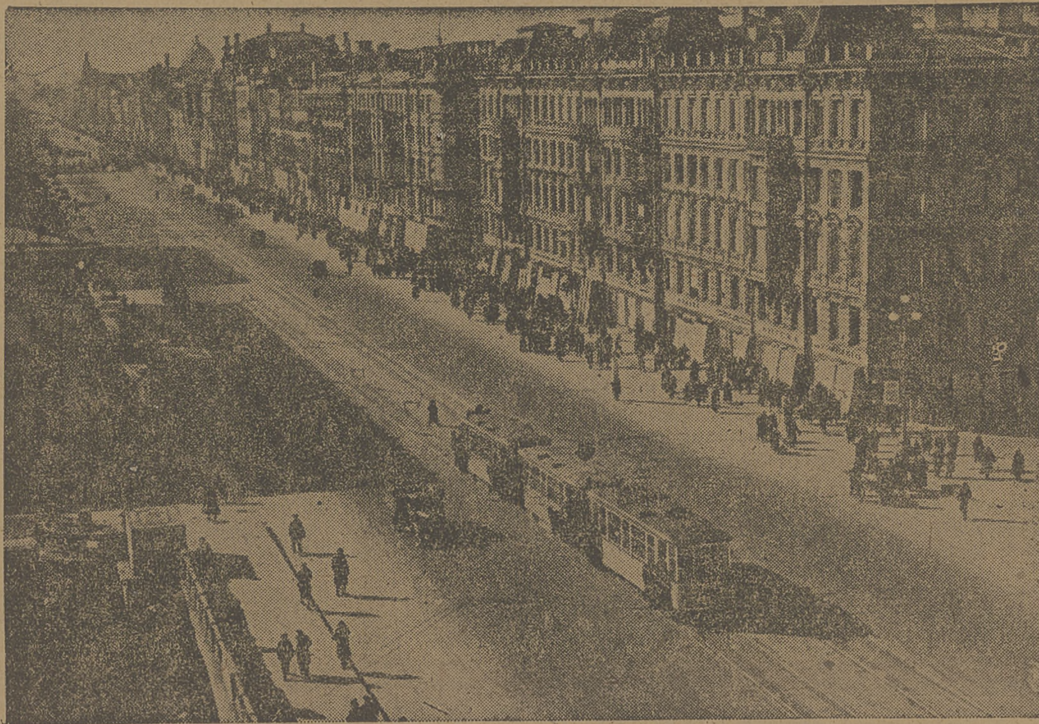
Zaczęto zbierać stare żelastwo. Zebrano wiele ton. Gospodynie, niczym kapitan okrętu przed bitwą, robiły przegląd swych mieszkań. Usuwały wszystko zbędne, niszczyły wszystko, co groziło niebezpieczeństwem pożaru: szmaty, śmiecie, odpadki, deski, stare koszyki i kufry.

W fabrykach, instytucjach żegnano odchodzących na front wielu ochotników, tworzono pułki pospolitego ruszenia.

Niesłychany entuzjazm ogarnął wszystkich. Szli ludzie do armii całymi rodzinami. Starzy robotnicy przekazywali swe warsztaty młodzieży, żony stawały w przedsiębiorstwach na miejsce mężów, emeryci — zasłużeni weterani pracy — wracali do swych starych placówek. Przemysł leningradzki ewakuował najważniejsze fabryki, ale i w tych fabrykach, które zostały, wrzała gorączkowa praca.

Stanęły odważnie przeciwko faszystom i własną piersią osłoniły drogę do miasta pułki pospolitego ruszenia, w których szeregach stanęli ramię przy ramieniu weterani walk z Judeniczem i niedoświadczona młodzież i inteligencja, która nigdy nie trzymała broni w ręku.

Wezwania, podpisane przez marszałka Woroszyłowa, sekretarza Leningradzkiego Komitetu WKP (b) Żdanowa i przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Leningradzkiej Rady Delegatów Popkowa, postawiła na nogi wszystkich mieszkańców wielkiego miasta.



Leningrad po strasznych latach blokady

„Nie po to żyjemy i pracujemy w naszym pięknym mieście, — mówiło wezwanie, — nie po to zbudowaliśmy własnymi rękami potężne fabryki i zakłady przemysłowe Leningradu, jego wspaniałe budowle i parki, żeby wszystko to stało się łupem niemieckich bandytów faszystowskich. Nie dojdzie do tego nigdy. Jak jeden mąż staniemy do obrony naszego miasta, naszych ognisk rodzinnych, naszych rodzin, naszej czci i wolności!"

Niemcy przypuszczali, że ich samoloty uniemożliwią jakąkolwiek obronę. Ale nasze sławne stalinowskie sokoły w powietrzu i nasza obrona przeciwlotnicza z ziemi przywitały w ten sposób czarnych bandytów, że setki ich runęły na ziemię.

Hitlerowcy byli pewni, że ich dywizje czołgów przerwą bez trudu linie obronne miasta na jego przedpolach. Tak, ciężka była walka z opancerzonymi siłami nieprzyjaciela. Nie starczyło dział przeciwlotniczych i rusznic przeciwpancernych. Ale odważni żołnierze rozpoczynali zaciętą walkę z maszynami faszystowskimi i niszczyli je za pomocą granatów, butelek z płynem zapalającym. Cały system kołów przeciwpancernych, przeciwczołgowych rowów i zasadzek, pól minowych, wstrzymywał posuwanie się naprzód niemieckich czołgów.

Nie pomogły również ataki psychiczne. Pijani, całymi szeregami szli Niemcy, nie zginając się. I padał szereg za szeregiem pod celnymi salwami naszych żołnierzy.

Miasto ostrzeliwano i bombardowano. Odpowiadało kanonadą swych baterii, fortów i okrętów. Salwy tysięcy dział wysadzały w powietrze niemiecki sprzęt techniczny, rozrywały w strzępy urządzenia bojowe Niemców. Na tyłach faszystów zjawiły się pierwsze partyzanckie oddziały. Płonęły auta ciężarowe, zawalały się mosty, wykolejały pociągi. Bataliony robotnicze Kołpina, które przyszły do okopów wprost z hal Iżorskiej fabryki, odparły ataki pułków niemieckich. Oddziały robotnicze Siestroriecka wypędziły z przedmieść miasta nieprzyjacielskie oddziały zwiadowcze.

Do 12 września stracili Niemcy w bitwie o Leningrad 170 tysięcy żołnierzy i oficerów, około 500 czołgów, około 500 dział. Co prawda, podeszli bezpośrednio pod samo miasto. I ta bliskość celu do tego stopnia rozpaliła apetyt dowodzącego tymi oddziałami von Leeb, że rzucił się na złamanie karku do decydującego szturmu. Wróg rzucił do ataku na linie obronne położone najbliżej Leningradu 26 dywizji piechoty, trzy dywizje zmotoryzowane i kilka dywizji czołgów. Przez cały wrzesień trwał, niebywały pod względem zaciętości, atak.

Siły Niemców dobiegały kresu. Nie potrafili nigdzie przedrzeć się przez nasze linie obronne. Wróg, oblewając się krwią, wyzuty z sił, zaczął okopywać się. 25 września von Leeb wydał rozkaz o przerwaniu ataku. Wróg nie przeszedł.

Wytrzymałość i kunszt bojowy wojsk Leningradzkiego frontu odniosły zwycięstwo nad zmechanizowanymi hordami Hitlera.

2

Niemcy przystąpili szybko do przegrupowania wojsk i ułożyli nowy plan opanowania Leningradu. W tym czasie, wraz z wzięciem Mgi, zostały przecięte wszystkie drogi, łączące miasto z resztą kraju. Leningrad znalazł się w pierścieniu blokady. Niemcy postanowili stworzyć drugi pierścień dokoła Leningradu i połączyć się z białofinnami, którzy posuwali się wzdłuż jeziora Ładoga od strony Pietrozawodzka. Generał Schmidt, dowódca 39 niemieckiego korpusu, zmierzając do zamknięcia pierścienia blokady, rzucił się na Tichwin. W skład jego korpusu wchodziły nowe oddziały, maksymalnie zmotoryzowane (Niemcy zamierzali dokonać operacji w jak najkrótszym czasie). Korpus Schmidta przerwał linię frontu i zbliżył się do Tichwina, zagrażając Wołchowowi i zmierzając do połączenia się z białofinnami. Pochód Schmidta jednak nie był tak triumfalny, jak wymarzyło sobie niemieckie dowództwo. W marszu na Tichwin napotkał Schmidt na opór. W listopadzie nasze wojska uderzyły na ten korpus i zadały mu druzgocący cios. W pierwszych dniach grudnia Niemcy uciekli z Tichwina.

Wtedy całą nadzieję Niemcy zaczęli pokładać w głodowej blokadzie Leningradu. Przypuszczali oni, że surowa zima, trudności, związane z zaprowiantowaniem miasta i garnizonu, wytworzą dla Leningradu sytuację bez wyjścia. To, czego nie osiągnął szturm, bombardowanie i naloty — zdobędzie koścista ręka głodu — liczyli Niemcy. Jakże źle znali leningradczyków!

Wojska von Leeba zdziesiątkowane, zawszone, zmęczone bojami, przystąpiły do budowania dokoła Leningradu swych fortyfikacji. Stawiały zasieki z drutu, minowały pola, zamieniały wszystkie pobliskie wsie w ufortyfikowane węzły, stwarzały skomplikowany system ognia, podwoziły dalekonośne działa, ażeby dzień i noc ostrzeliwać miasto, siejąc zniszczenie w jednej dzielnicy za drugą, zalewając nasze pozycje z powietrza lawiną ognia.

W najważniejszych fabrykach wojskowych nie przerywano pracy nawet w te dni, kiedy w Leningradzie było szczególnie ciężko, nie starczało paliwa i elektryczności; brak żywności nadszarpywał ludzkie siły.

Nigdy jeszcze nie dał leningradzki przemysł takiego dowodu umiejętności manewrowania, nie przejawił takiej bolszewickiej zdolności znajdowania wyjścia z najtrudniejszych sytuacji i spełnienia, bez względu na wszystko, poruczonych sobie zadań — jak w czasie tych najsurowszych miesięcy minionej zimy w czasie blokady.

Czołgi, działa, moździerze, broń automatyczną, pociski, miny, granaty — to wszystko i wiele innego dawał i daje dla frontu przemysł leningradzki.

Nie ma w Leningradzie granicy między frontem i tyłami. Wszyscy żyją jedną myślą, jednym duchem — wszyscy pragną uczynić wszystko, by rozgromić wroga... Każdy leningradczyk, każdy mężczyzna i kobieta — wszyscy znaleźli swoje miejsce w szeregach walczących i spełniają uczciwie swój obowiązek radzieckich patriotów.

I tylko zahartowani jak stal leningradczycy — ludzie o żelaznej woli i wytrzymałości, tylko oni potrafili pracować we dnie i w nocy, pracować w oblężonym mieście, pod nieustającym obstrzałem, przy głodowych racjach żywnościowych, pracować w warunkach leningradzkiej zimy. I oni pracowali. Wykazali najwyższy kunszt, pogardę śmierci, nie zawiedli zaufania, godni wysokiego miana dziedzicznego proletariatu leningradzkiego.

Z dnia na dzień życie w mieście stawało się coraz trudniejsze. Racje żywnościowe były skąpe do ostateczności. Nie dowożono prowiantu ani opału. Pomimo maksymalnej oszczędności, zapasy paliwa topniały z dnia na dzień. Był okres, kiedy część ludności, urzędnicy i ci, którzy byli na utrzymaniu, otrzymywali po 125 gramów chleba z trzynastoprocentową domieszką. Zaczął się głód. Przyszedł wraz z nim szkorbut i dystrofia. Ostrzeliwanie stało się częste, aż do znudzenia.

Godzinami trwało bombardowanie. W czasie jednego z nalotów młody lotnik Sewastjanow dokonał po raz pierwszy w świecie nocnego taranu nad miastem. Wypatrzywszy niemieckiego pirata powietrznego na nocnym niebie, strącił go. Płonący bombowiec upadł w Taurydzkim parku.

Trudności piętrzyły się. Nikt nie utyskiwał. Surowi stali się ludzie. Wszystko stało się zrozumiałe i proste. Wróg zamierza złamać miasto głodem — miasto złamać się nie da.

Nieustannie trwała praca. Tramwaje nie kursowały, gdyż nie starczało prądu. Ludzie przechodzili olbrzymie przestrzenie — do 15—18 kilometrów. Nie było światła — szykowano kaganki. Nie było opału — zaczęto rozbierać stare drewniane domy. Nie było transportu — chleb do spółdzielni przywożono na ręcznych saneczkach.

Ponure miasto trwało w swym majestacie. Stały wśród zasp śnieżnych zlodowaciałe samochody, tramwaje, trolejbusy, sznury ludzi ciągnęły ulicami w kierunku Newy, schodziły po wodę do przerębli, dzwoniąc kubłami i bańkami. Wodociągi nie działały.

Okna były zabite dyktą. Ściany mieszkań pokrywały lśniące jak atłas, śnieżne smugi. Życie ludzi było niewymownie ciężkie. Wielu umierało z wycieńczenia. Nie dążono grzebać umarłych, ryto wielkie bratnie mogiły i składano w nich zwłoki, jak na polu walki. Ale cały Leningrad był polem walki i, podobnie jak żołnierze na posterunku, umierali leningradczycy przy maszynach, podczas pracy dla frontu.

Unosiły się nad miastem płomienie pożarów, których nie było czym gasić — nie było wody. Gaszono je, zasypując śniegiem, zarzucając ogień żelaznymi belkami i żelastwem, urządzano lodowate przeciągi, które tłumiły płomienie. Mimo to w mieście pulsowało życie. Pracowali przy kagankach uczeni, pisali referaty naukowe, studenci przygotowywali się do egzaminów, artyści rysowali plakaty, kompozytorzy tworzyli utwory muzyczne. Nic nie mogło rozbić woli leningradczyków, twórczego ducha, niezłomnej energii.

Dobrze wyraziła te nastroje robotnica Bułyszewa z fabryki im. Jegorowa, która przez cały czas wojny produkowała zamiast 60 części maszyn — 150. Gdy dowiedziała się, że otrzymała w nagrodę order — powiedziała: „Czułam się tak, jakbym była na froncie! Mówiłam sobie: walcz mocniej, Bułyszewa! Bij faszystowskie gady, niszcz je! Jeden mam przed sobą cel: pracować, pracować, pracować! Nie szczędząc sił, nie szczędząc życia! Istotą mojego życia, istotą życia nas wszystkich jest jedno: osiągnąć największą nagrodę, doznać szczęścia całkowitego zwycięstwa nad nienawistnym wrogiem!"

Była wyrazicielką myśli wszystkich obrońców Leningradu. W czasie tych niezwykłych dni myśl twórcza pracowała z niespotykaną siłą. Z inicjatywy tow. Żdanowa rozpoczęto prace nad przeprowadzeniem drogi lodowej przez jezioro Ładoga.

Po tej trasie otrzymywał Leningrad codziennie 7—8 tysięcy ton zapasów żywności i amunicji, a z Leningradu codzień ewakuowano 5—6 tysięcy mieszkańców i wielką ilość sprzętu fabrycznego.

Trasę tę ostrzeliwano i bombardowano. Zasypywały ją śnieżne zawieje, srożyły się okrutne ładoskie wiatry i mrozy. Pracować trzeba było w warunkach potwornych. Po tej jedynej drodze jednak szła żywność dla miasta i dlatego nazwano ją „Drogą życia".

W najcięższe dni leningradczycy wiedzieli, że o nich nie zapomniano. Znosili niezmordowanie wszystkie trudności, gdyż żyła w ich sercach pewność ostatecznego zwycięstwa zespolona z głęboką wdzięcznością dla wszystkich narodów Związku Radzieckiego, narodów, walczących pod murami miasta. Stalinowska troska o Leningrad budziła w duszach leningradczyków nowy przypływ męstwa i leningradczycy pracowali nietylko dla swego frontu, lecz wysyłali swą produkcję wszędzie tam, gdzie była ona potrzebna. W czasie klęski Niemców pod Moskwą potrafili wykonać i przerzucić na samolotach za granice Leningradu — setki dział, moździerzy, automatów i innej broni. Mają w swym archiwum obrony historyczną depeszę, podpisaną przez marszałka Żukowa: „Leningrad, towarzyszowi Żdanowowi. Dziękuję leningradczykom za pomoc udzieloną moskwiczom w walce z krwiożerczymi hitlerowcami".

W czasie tych dni, kiedy przebijano Drogę Życia, zrodził się na froncie ruch mścicieli snajprów. Stał na czele tego ruchu dziewiętnastoletni młodzieniec, komsomolec Teodoziusz Smolaczkow. Nie długo sądzone mu było bić wrogów, a jednak 126 kulami zabił 125 hitlerowców.

Bohaterowie Związku Radzieckiego: Wieżliwcew, Goliczenkow, Kozłow, Kalinin, Pczelincew, Łosktutow, Fomin, Siniawin zabili w przeciągu krótkiego czasu około 2000 hitlerowców.

Wśród znanych snajprów leningradzkiego frontu, zespolonych w jednym dążeniu, można spotkać Białorusinów i Ukraińców, Kazachów i mieszkańców Kaukazu.

Stalinowska przyjaźń narodów związała mocnymi więzami bojowymi żołnierza z obsługi moździerzy, Kazacha Żusanbaja Szynibekowa, leningradczyka Pczelincewa, Uzbeka Zjufara Jusupowa i Ormianina Kazarjana, Gruzina Dżugadze i Baszkira — żołnierza łączności Abzała Melidzinowa, Uzbeka Kajuma Rachmanowa i Abchazyjczyka Michała Dużbę.

Niemcy, zaskoczeni najsurowszą zimą, pozbawieni zimowej odzieży, utraciwszy zapał bojowy jesiennych walk, siedzieli zarywszy się głęboko w ziemi i z trudem pełnili służbę bojową. Niezależnie od tego snajprzy nie pozwalali im unieść głowy nad okopem. Niemcy przestali chodzić wyprostowani. Snajprzy zmusili ich do tego, że pełzali na czworakach. Niezachwianie pewna była obrona wielkiego miasta, chociaż otoczył je bandycki i uzbrojony obóz. Leningrad oczekiwał cierpliwie zmian i zmiany te przyszły.

(Dokończenie na stronie 4-tej).

STEFAN WOLAS
Prezydent miasta Krakowa
Prezes T-wa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej

W ROCZNICĘ OSWOBODZENIA KRAKOWA

Istnieją w świecie miasta, które w szczególniejszy sposób umiłowała sobie Historia. Na długiej przestrzeni wieków rozgrywały się w nich przeróżne fakty i wydarzenia, zarówno radosne jak bolesne, mające nieraz doniosłe znaczenie dla życia całego narodu. Przechodziły one do legendy, podawały je sobie z ust do ust pokolenia, stawały się przedmiotem licznych i pracowitych dociekań badaczy przeszłości, natchnieniem literatury, poezji i sztuki.

Takim miastem w Polsce jest Kraków, który w ciągu tysiąca lat swej historii stał się widownią przeróżnych doniosłych wydarzeń. Związały się one z jego murami i pamiątkami tak ściśle, że uczyniły to miasto wielką księgą dziejową, niegasnącym nigdy ogniskiem wiedzy o narodowej przeszłości, nie wyschłą nigdy Krynicą wspomnień, z których rodziły się świadomość i duma narodowa oraz nieocenione drogowskazy przyszłości. Wspomnienia te szczególniej żywo stają przed oczyma ludzkimi w ponawiających się w kolejności czasu rocznicach, dając szerokiemu ogółowi możność rozpamiętywania dziejowych wydarzeń i wysnuwania z nich wskazań, których niezastąpioną mistrzynią jest Historia.

Taką oto wielką, dziejową rocznicę święci Kraków, rocznicę wydarzeń niedawnych i głęboko w ludzkiej pamięci wyrytych, zaszłych bowiem ledwie rok temu, które jednak ponad wszelką wątpliwość przez długie wieki będą święcone w uroczystych obchodach dorocznych. Wydarzenia te zaszły w owych nieśmiertelnych i błogosławionych godzinach dnia 18 stycznia 1945 roku, kiedy to dobiegł do końca trwający przez 5 i pół roku straszliwy okres niemieckiej okupacji w Krakowie, krwawy koszmar terroru, mordu i gwałtu, o nasileniu i rozmiarach nieznanych dotąd w historii ludzkości, kiedy to **„krzyżacka zawierucha rozpadła się w proch i pył"** pod miażdżącym naporem bohaterskiej Armii Czerwonej, której dziejowe przeznaczenia oddały do rąk ognisty **miecz karzący Sprawiedliwości dziejowej.**

W obliczu wspomnień o tym krwawym koszmarze, który już zapadł bezpowrotnie w przeszłość, przyznać musimy dziś, że w ciągu lat poprzedzających wybuch ostatniej wojny nie doceniliśmy należycie grozy rozpętanego barbarzyństwa hitlerowskiego, nie daliśmy właściwego posłuchu wymowie dziejów dawnych i groźnym ostrzeżeniom faktów, zaszłych w czasach najnowszych. Nie byliśmy słowem, przygotowani na to niesłychane rozpętanie się zwierzęcia germańskiego, wyzwolonogo z wszelkich hamulców sumienia, kultury i społeczeństwa. Czytaliśmy kiedyś na ławie szkolnej „Krzyżaków", „Grażynę" czy „Wallenroda", podziwialiśmy brązowe grupy pomnika na placu Matejki, chyliliśmy czoła przed marmurowym sarkofagiem wielkiego zwycięzcy spod Grunwaldu w katedrze wawelskiej, stawaliśmy z zachwytem w Muzeum Narodowym przed „Hołdem Pruskim", na którym gięli kolana przed majestatem polskim **epigoni Krzyżaków i protoplaści butnych Prusaków** w tych samych osobach, darzyliśmy chojnymi oklaskami znakomitego mistrza sceny, oddającego w niezrównany sposób cynizm i perfidię „Wielkiego" Fryderyka, duchowego patrona Hitlera. Słyszęliśmy coś niecoś o bismarkowskim wyroku na plemię polskie „ausrotten!", o H. K. T., wywłaszczeniu, Wrześni i wozie Drzymały, o nieugiętej walce Śląska o polską mowę i wolność, o powstaniach górnośląskiego chłopa i górnika. Czy jednak z tych wszystkich wspomnień i faktów wyciągnęliśmy odpowiednią naukę? Czy przemówiły do nas cyniczne slogany z kart ewangelii djabła, która nosi tytuł „Mein Kampf"? Czy napełniło nas właściwą grozą rozpętanie w Niemczech rasizmu, zuchwałe i bezkarne burzenie niepodległości całych państw europejskich, wściekłe miotanie się przyzwanego po wiekach do życia krzyżactwa w Gdańsku? Nie, tym wszystkim faktom nie daliśmy przed wojną należnego posłuchu, nie dojrzeliśmy ostrzegawczych sygnałów historii, uznaliśmy je często za przesadę dziennikarzy, tak jak kiedyś uważaliśmy li tylko za poetycką przenośnię słowa wieszcza z „Konrada Wallenroda":

„...Zgubne zjawisko... od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusimi czuby
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.
Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczym jest klęska wiosek albo grodów —
Cała kraina w mogiłę zapadła..."

A jednak te słowa nie były jedynie poetycką przenośnią, były rzetelną prawdą. Przekonaliśmy się o tem wszyscy w toku przedługich i ponurych jak górb otwarty pięciu i pół lat rządów niemieckich w Polsce i Krakowie.

Kiedyś przez długie lata kronikarze i historycy ogłaszać będą dla pamięci pokoleń swe prace, w których szczegółowo opisywać będą tem nieskończony łańcuch tragicznych dni Krakowa, na przestrzeni pomiędzy 6 września 1939 r. a 17 stycznia 1945 r. I niewątpliwie stwierdzą oni zgodnie, że nigdy w swych dziejach nie przeżył Kraków równie okropnych chwil. Ani bowiem najazdy tatarskie w XIII w., ani okupacja szwedzka w w. XVII, ani żaden inny z najazdów obcych, żadna inna z rozlicznych klęsk, nie może iść nawet w przybliżeniu w porównanie z tym co przeżył Kraków w pamiętnych latach okupapacji. Ołowiana chmura zaciężyła nad miastem i cji. Ołowianą chmurą zaciążyła nad miastem i nad wszystkimi jego mieszkańcami niepojęta buta krzyżacka, bezgraniczna nienawiść do wszystkiego co polskie, zaczęło święcić triumfy absolutne znikczemnienie tych, którzy w nieograniczonym zuchwalstwie mienili się narodem panów, szerzycielami prawdziwej kultury i dobroczyńcami ludzkości. Te długie dni, miesiące i lata pozostaną na zawsze w dziejach Krakowa jako wspomnienie rozpętania się szatańskich mocy, walczących z zaciekłością ze wszystkim tym, co przez długie wieki wydała z swego łona kultura ludzka.

My przeżyliśmy to wszystko, i dlatego nie potrzebuję dziś roztaczać szczegółowego obrazu tych czasów. Wszakże każdy z nas pozostałych przy życiu opowiedzieć może wiele przeżyć osobistych, wyliczyć może najboleśniejsze straty wśród swej rodziny, bliskich czy przyjaciół. Krótko zatem przypomnę tylko, iż my wszyscy, za to tylko, iż urodziliśmy się Polakami, skazani zostaliśmy przez nowe „prawa" niemieckie na wyrzucenie poza nawias ludzi mających prawo do życia, uznani zostaliśmy za gromadę niewolników, którym wolno jedynie spełniać ślepo najbardziej nikczemne rozkazy wroga. Pozbawieni zostaliśmy wszelkich praw przysługujących człowiekowi, co jednak nie nasyciło bezmiaru nienawiści rozpanoszonego zuchwalstwa hitlerowskiego. Po ciężkich całodziennych pracach udawaliśmy się do naszych domów potó, aby krótkie godziny wypoczynku przerywać co chwilę nasłuchiwaniem turkotu aut niemieckich, wiozących może gestapo. Długo musiałbym wyliczać grozę koszmaru rewizji, aresztowań, znieważań, tortur, łapanek i mordów masowych, wykonywanych publicznie na oczach całej ludności. Pamiętamy i pamiętać będziemy owe masowe aresztowania, z których największe przypadło na dzień 6 sierpnia 1944 r., kiedy to uwięziono na ulicach Krakowa i w domach prywatnych kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn, osadzonych następnie w obozach koncentracyjnych w Płaszowie, na Prądniku Białym i w ponurym więzieniu Montelupich. Pamiętamy szubienice w Płaszowie, i rozstrzeliwanie nieletnich harcerzy w ulicy Lubicz, przewożenie skrwawionych i powiązanych drutem kolczastym więźniów, którym przed egzekucją zalepiono usta gipsem, aby z ust tych w ostatnim momencie ich życia przed lufami zbirów niemieckich nie wybiegł okrzyk **„Niech żyje Polska!"** Pamiętamy katownię gestapo przy ul. Pomorskiej, pamiętamy też powolne konanie w straszliwych mękach i głodzie, mordowanie w komorach gazowych obywateli naszego miasta, wywożonych w tym celu do obozów Oświęcimia, Majdanka i niezliczonych mordowni na terenie Niemiec, urządzonych z szatańską przemyślnością, jaką piekło tylko podyktować mogło twórcom tych miejsc masowej zbrodni. Pamiętamy również owe „pacyfikacje" na Woli Justowskiej, Przegorzałach i Zwierzyńcu, gdzie nieszczęsne ofiary „sprawiedliwość" niemiecka poddała przesłuchaniom, polegającym na łamaniu kości i odbijaniu ciała cepami. Pamiętamy ową obławę dębnicką, zakończoną dzikiemi mordami niewinnych kobiet pod skałami Twardowskiego. **Pamiętamy panoszenie się w tym gmachu niemieckich rządców miasta,** którzy zadanie służenia dla ogólnego dobra mieszkańców, pojmowali jako obowiązek zniweczenia dzikiego i brutalnego tego wszystkiego, co w tym mieście było wykwitem tysiąca lat polskiej kultury. Dość wspomnieć owe masowe aresztowania oficerów rezerwy. Wtedy to na liście aresztowanych i skazanych na zagładę znalazł się również szereg wzorowych pracowników miejskich. Rządzący wówczas miastem Stadthauptmann nie uznał za wskazane wydobyć ich z więzienia i ocalić ich dla pożytku miasta, lecz przeciwnie, zezwolił spokojnie na ich męczeńską śmierć, dla tego tylko, iż byli Polakami.

A ileż wspomnień przyszłoby nam snuć na temat potwornego ucisku tej wielkiej chluby Krakowa i Polski, jaką jest nauka i kultura narodowa. Zaraz u wstępu swych rządów zniweczyli Niemcy całe nasze szkolnictwo, w nikczemny i podły sposób wywieźli do mordowni w Oranienburgu wszystkich profesorów naszej Wszechnicy, wśród nich wielu ludzi w wieku podeszłym, wielu okrytych sławą międzynarodową dzięki owocom swych badań naukowych. Iluż ich tam zginęło w najwyższym ucisku, wśród przemyślnych tortur, iluż z nich zmarło później po powrocie z niemieckiej katowni. Ograbiono nasze muzea, zbiory, biblioteki i archiwa z najcenniejszych skarbów, gromadzonych tu w Krakowie dłońmi długich pokoleń ludzkich. Grabieżą dzieł sztuki nie gardzili nawet najwyżsi dygnitarze niemieccy, a żona gubernatora Wächtera jak pospolita złodziejka wywoziła krakowskie dzieła sztuki do Wiednia i tam je spieniężała na własną korzyść. Pamiętamy obalanie i niszczenie pomników naszych, symbolów nieśmiertelnej chwały narodowej. Pamiętamy wreszcie rabunek arcydzieła Wita Stwosza z kościoła mariackiego, tego świetnego klejnotu sztuki średniowiecznej, stworzonego tu w Krakowie dłonią mistrza, który później zwabiony do Norymbergi, poddany był w tym mieście poniżeniom, mękom i torturom. Snać po wielu wiekach duch jego, zaklęty w jego mariackim ołtarzu, podzielić musiał los tysięcy męczenników polskich, powędrować ponownie w najsroższą niewolę niemiecką.

Wszelako wzamian za zniszczenie nauki i kultury krakowskiej cóż nam przyniósł zaborca? Stworzył „nistytut wschodni", który jednak okazał się nie tyle placówką nauki ile ogniskiem nikczemnej i jadowitej propagandy pseudo naukowców. Zastępy „uczonych" niemieckich nie wniosły niczego, co bodaj na krok posunęłoby naprzód wiedzę na terenie Krakowa. Ich prace są ordynarnymi plagiatami, nędznymi przeróbkami dawno dokonanych prac polskich uczonych, które były usłużnie do tego celu tłumaczone przez najętych Volksdeutsch'ów. Dokumentem pracy tych „uczonych" są zniszczone wzorowe pracownie i zakłady uniwersyteckie. Wśród owych „uczonych" nie brakło pospolitych szarlatanów i psychopatów, jak ów obieżyświat z Paragwaju, panoszący się w Ogrodzie Botanicznym, albo ów zboczeniec w Zakładzie Anatomii, który dla przyjaciół i znajomych ofiarowywał popielniczki wykonane z czaszek i piszczeli pomordowanych Polaków, których ciała tak licznie dostawiano wówczas do prosektoriów. Jednym z nich był też ów lekarz niemiecki w Klinice Okulistycznej, który pacjentów polskich poprostu oślepiał, usprawiedliwiając swe zbrodnie tłumaczeniem, iż dokonuje tym sposobem ważnych badań naukowych.

Nie koniec na tym. Pobiegnijmy jeszcze myślą ku owym pełnym radosnego a zarazem niepokojącego oczekiwania chwilom, poprzedzającym wyzwolenie Krakowa. Przeczuwaliśmy wszyscy, iż zbliża się ten wielki moment, lecz równocześnie wszystkie serca napełniały się grozą wobec przygotowań podjętych przez wroga. Z lękiem śledziliśmy budowę bunkrów i betonowych shipów, które wskazywały, że okupant zamierza bronić do ostatka swego krakowskiego legowiska. Niektórzy, a zwłaszcza robotnicy zakładów miejskich z narażeniem życia podpatrywali tajemnicze czynności specjalnych oddziałów niemieckich, umieszczających potężne miny i ładunki dynamitu pod wielu budowlami krakowskimi i najważniejszymi zakładami użyteczności publicznej. Niewątpliwym zamiarem konającej przemocy niemieckiej było pozostawienie z Krakowa kupy ruin i gruzów.

Szczególnym jednak zrządzeniem losu nie doszło do zrealizowania tych szatańskich planów. Tak samo, jak ujawnione w obecnym procesie norymberskim zamiary Niemiec, w odniesieniu do całego narodu polskiego, polegające na absolutnej, biologicznej zagładzie całej ludności polskiej, tak samo nie doczekały się zniszczenia niemieckie plany usunięcia Krakowa z powierzchni ziemi. Podjęta w dniu 12 stycznia triumfalna ofensywa bohaterskiej Armii Czerwonej podsunęła się bezpośrednio w okolice naszego miasta, a szereg świetnych, nieprzeczuwanych przez sztaby niemieckie operacyj, przeprowadzonych błyskawicznie przez Armię Czerwoną, przekreślił szatańskie zamysły okupantów.: Wezbrały serca wszystkich obywateli bezmiarem radości wobec zakończenia się straszliwego koszmaru niewoli. Z entuzjazmem nieopisanym powitano pierwsze szeregi oswobodzicieli, wkraczające na teren miasta od strony Łobzowa. Z niszczycielskich planów wroga, uskuteczniło się jedynie wysadzenie w powietrze mostów wiślanych, natomiast miasto jako całość wyszło z boju bez szwanku. Podnieść tu muszę z naciskiem, wielką zasługę wielu pracowników zakładów miejskich, którzy podpatrując uprzednio wroga, stwierdzili gdzie umieszczone przezeń ładunki wybuchowe i miny. Z chwalebną ofiarnością i poświęceniem usunęli oni mnóstwo min na terenie całego miasta, w czym zwłaszcza wyróżnili się pracownicy Kanalizacji, zaś grupa pracowników Elektrowni, zdołała w porę usunąć kilka ton dynamitu, który w razie wybuchu mógł zniszczyć całą dzielnicę Kazimierz.

Rozpamiętując dziś tragiczne lata okupacji i bezmierną radość odzyskania wolności przed rokiem, pragnę jeszcze podnieść, niezłomną moc ducha mieszkańców Krakowa w pamiętnych latach terroru i gwałtu.. Mimo straszliwego ucisku, mimo kazamat gestapo i obozów śmierci, przenikał wszystkich jednolicie płomień najgorętszych uczuć partiotycznych, który powodował, iż zasilały się stale szeregi organizacyj podziemnych, iż nie budziły trwogi tortury i kaźnie, iż zespoliło wszystkich jednolite poczucie braterstwa. Ta wspaniała postawa obywateli Krakowa znaleźć może jedynie odpowiednik, w potężnych słowach Kasprowicza:

Błogosławieni, którzy w czasie gromów,
Nie utracili równowagi ducha,
Którym na widok spustoszeń i złomów
Nie płynie z serca pieśń rozpaczy głucha;
Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni
Nie tracą wiary w blask rannych promieni!

I doczekali owych rannych promieni, które przyniosła uciemiężonemu miastu waleczna Armia Czerwona w jasności swoich sztandarów, w warkocie samolotów, w huku dział, miażdżących niezmożoną, szatańską potęgę Hitlera.

I dzisiaj też rozważając te chwile oddać winniśmy serdeczny hołd tym wszystkim bojownikom Czerwonej Armii i jej nieśmiertelną sławą okrytym dowódcom, którzy przynieśli miastu naszemu i Ojczyźnie ocalenie od zagłady w pamiętnych dniach styczniowych.

Duch zaś jedności, braterstwa i zespolonej woli służenia przyszłości i pomyślności odrodzonej demokratycznej Ojczyźnie, niechaj trwa i żyje wśród nas na zawsze, zgodnie z tym nakazem, który podyktowały przedwieczne piramidy Juliuszowi Słowackiemu:

„...Cierp a pracuj, i bądź dzielny,
Bo twój naród — NIEŚMIERTELNY!..."

BOHATERSKI LENINGRAD

(Dokończenie ze strony 3-ciej).

3

Płynęły przez Ładogę do Leningradu zapasy żywności i amunicji. Przyszedł przez Ładogę do Leningradu niezwykły transport. Zebrali partyzanci i miejscowa ludność w głębi partyzanckiego kraju obwodu leningradzkiego kilkaset fur produktów. Obóz ten ruszył do Leningradu przez terytorium czasowo okupowane przez Niemców. Doszedł nie zauważony aż do linii frontu, przeszedł front i, przybył do Leningradu. Ten transport był jaskrawym świadectwem nieujarzmionej woli narodu rosyjskiego, kunsztu i staranności partyzanckiego dowództwa, najgłębszego, prawdziwego patriotyzmu.

Przedwiośnie czterdziestego drugiego roku wykazało, że blokada głodowa poniosła całkowite fiasko, że spełzł na niczym podły ludożerczy zamiar Niemców, by zadusić miasto w kleszczach głodu. Miasto nie tylko nie myślało o kapitulacji, lecz przeciwnie, — płonęło zaciekłą nienawiścią do hitlerowców, nie tylko nie osłabła nasza obrona, lecz wzmagała się, rosła.

Z nadejściem wiosny minął najstraszliwszy okres blokady. Ale wraz ze zbliżaniem się wiosny inne niebezpieczeństwo zagrażało Leningradowi. Antysanitarny stan miasta groził, że to, co się nie udało wrogowi, to uda się epidemiom, które wybuchną w Leningradzie, jako nieuniknione następstwo klęsk zimowych. Stojącemu zdala zdawało się, że nic nie potrafi zapobiec tej klęsce. Ale oto rzucono hasło i pod koniec marca 1942 wszyscy leningradczycy którzy trzymali się jakoś na nogach, stanęli na apel Miejskiego Komitetu Partyjnego i Leningradzkiego Komitetu Wykonawczego do porządkowania miasta. Ludzie, chwiejąc się na nogach, wybiegli na ulice i place, obchodzili dom za domem, oglądali go od strychu aż do piwnicy i zaprowadzali porządek. Wyrąbywali lód, czyścili kanalizację, uprzątali zaspy śnieżne. Śnieg i śmieci przenoszono na sankach, w koszykach, w pudłach, na deskach, na dykcie — wrzucano do Newy i kanałów, przewożono do ogrodów.

Według oficjalnych danych, doprowadzono do porządku 16.000 podwórzy, 27.000 studni kanalizacyjnych, ponad 3 miliony metrów kwadratowych ulic i placów. Do tej tytanicznej pracy wychodziło codziennie 300 tysięcy leningradczyków. I kiedy po przerwie zimowej ruszył pierwszy tramwaj, przywitały go oklaski setek tysięcy pracujących. Kiedy promienie wiosennego słońca padły na męczeńską ziemię leningradzką, nie groziła już miastu żadna epidemia. Miasto było czyste i gotowe do nowej walki.

Zaczęła się wzmożona ewakuacja chorych i słabych, doprowadzanie miasta do stanu obozu wojskowego, w którym nie ma miejsca ani dla jednego zbytecznego człowieka. Zaczęła się praca w ogrodach. Zaczęła się walka o ogrody, które miały wypełnić lukę w zaprowiantowaniu miasta.

Leningradzka kobieta dała w czasie blokady przykład niezwykłego bohaterstwa. Wzięła w ręce broń i stanęła w pierwszych szeregach obrońców miasta, dyżurowała na dachach domów, w szeregach obrony przeciwlotniczej, gasiła bomby zapalające, odkopywała zasypanych, stanęła zamiast męża, brata, ojca przy maszynie, w pochmurne dni jesienne grzęzła w mule i błotach, szła poprzez zaspy śnieżne, budowała ufortyfikowany pas dokoła miasta.

Kobieta stala się cieślą, stolarzem, murarzem, zdobyła dziesiątki specjalności. Była to szkoła patriotyzmu, szkoła, którą ukończyła z medalem: „Za obronę Leningradu!"

Miastu potrzebny był opał i znowu szła kobieta w głąb lasu i tam osiągała zwycięstwo w warunkach, kiedy oddech ścinał się w lód, a głód podcinał nogi. Stawała do najbrudniejszej, najtrudniejszej pracy, gasiła pożary, dbała o czystość w mieście, była motorniczym tramwaju w czasie obstrzału, stawała się regulatorką ruchu, milicjantem, tragarzem, marynarzem, maszynistą kolejowym. Na swych barkach utrzymywała dom, pielęgnowała dzieci, ratowała je od śmierci głodowej.

Dojrzało w duszach leningradczyków wspaniałe uczucie zbiorowości, które charakteryzuje członków społeczeństwa socjalistycznego, bezgranicznie oddanych ojczyźnie.

Nie byli oni bohaterami w czasie pokoju. Stali się nimi. Przezwyciężyli nie tylko zewnętrzne trudności, przezwyciężyli wiele osobistego, zbędnego, drobiazgowego, wznieśli się ponad osobiste straty i przykrości, ponad osobiste tragedie i rodzinne więzy, nie zabili jednak w sobie uczucia człowieczeństwa. Wznieśli je na wyższy szczebel. Przepalił ich ogień cierpienia, ale serce ich nie przekształciło się w kamień, nie spopielało w ogniu. Zahartowało się. Jeśli wyschły im łzy, to nie znaczy, że zatracili uczucie litości. Przeżywali je głębiej. Wyrzekli się uczucia litości jedynie w stosunku do znienawidzonego wroga.

Niemcy wciąż stali pod murami Leningradu. Nie wyrzekli się myśli, aby mimo wszystko zawładnąć miastem. Postanowili zmusić je do złożenia broni. Przystąpili do systematycznego ostrzeliwania miasta, teroryzując ludność, burząc domy, niszcząc ulice. W rejonie Mgi Niemcy skoncentrowali grupę Mansteina, przerzucili z południa ciężką artylerię, która atakowała Sebastopol. Przerzucono nowe rezerwy.

Ale Leningrad był przygotowany do nowych walk. Jego system umocnień był doprowadzony do doskonałości, jego artyleria przystąpiła do stałej walki z działami wroga i ta walka na wyczerpanie, walka, którą z wielkim kunsztem wiedli artylerzyści wielkiego miasta, wyrządziła nieprzyjacielowi wiele strat i obracała w niwecz jego zbójeckie plany. Zaczęła się walka na poszczególnych odcinkach, walka czasami o każde sto metrów przestrzeni pokrytej milionami odłamków, przeszytej gradem kul.

L. LEONOW

NAJAZD

TŁ. BOGDAN ŻYRANIK

(Ciąg dalszy)

Fiodor skrzywił się na to.

FIODOR: Nie. Ja chciałem i siebie, ale nie zdążyłem.

TAŁANOW: Za coś ty ją... tak?

FIODOR: Ja ją kochałem. Naprożno.

TAŁANOW: A teraz?

Fiodor milczy.

Przyjechałeś odpocząć? No, cóż, zostań tu, rozejrzyj się.

FIODOR: Dziękuję, nie. Wszyscy zaczną patrzeć, pouczać. Ja przychodzę do ciebie na wizytę, jako do lekarza.

TAŁANOW: Doskonale. Tylko bracie, wieczorami teraz niedobrze widzę. Siądź ku światłu, chcę cię obejrzeć.

(Posłusznie i nawet unosząc brzeżek abażurka Fiodor sadowi się koło lampy. Światło z ukosa pada mu na czoło. Opierając się na ręce Fiodora, rzuconej na stół, Tałanow wpatruje się w twarz syna. Fiodor wyswobadza rękę).

FIODOR: No, postawiłeś... diagnozę?

TAŁANOW: Tak. Twój kaszel nie podoba mi się, i ten Glanz-Augen i ręce twoje — wilgotne, gorące.

FIODOR: To — głupstwo. Coś innego miałem na myśli.

TAŁANOW: I coś innego. Jesteś roztargniony. Ta twoja szorstkość to dzięki wzburzeniu. I te twoje wąsiki tak samo. Szukasz wyjścia. To już jest dobrze.

(Tak mówi się do dziecka, które coś zbroiło). Obejrzyj się, Fiedu. Jakie to nieszczęście nadciąga na naszą ziemię. Kobieta rosyjska, męczennica, płacze przy ognisku leśnym... I dzieciaczki przy niej co nasiąkły dymem pożogi, który nigdy nie wywietrzeje z ich serduszek. Wiesz ty, ile tych pisklątek przeszło przez moje ręce? Wczoraj na przykład... (Machnął ręką). Ech, ból i gniew głowę ogarnia, ból i gniew. A twoja choroba uleczalna, Fiodorze.

FIODOR: Tym lepiej. Siadaj, pisz receptę.

TAŁANOW: Już napisana. To — sprawiedliwość względem ludzi.

FIODOR: Sprawiedliwość? (zapalając się ciemnym płomykiem). A względem ciebie, ciebie samego sprawiedliwi są oni, ci coś ich przez 80 lat leczył? Przecież ty pierwszy, jeszcze przed słowami robił operacje serca. Przecież ty za swoje krwawicowe kopiejki zakładał poliklinikę. Przecie stałeś się rzeczą miasta: inwentarzem komunalnym, jak sikawka pożarna...

TAŁANOW (słuchając z przymkniętymi oczyma): Doskonale powiedziane, mów dalej.

FIODOR: I ot, Nibelungi ciągną na wschód, druzgocąc wszystko. Ludkowie uciekają, ludkowie okrawki wywożą, i głuchonieme ciotki. A czegóż to o tobie zapomnieli, stary doktorze, co? Wyjdź, stań na rogu, uchwyć się kufereczka z cudzymi manatkami, może dadzą się przysiąść (i zachłysnął się kaszlem). Ech, wciąż tam dudni i pali, pali...

TAŁANOW: Nie to bieda, że pali, ale że zły ogień ciebie pożera.

(Olga odemknęła drzwi).

Nie przeszkadzaj nam, Olgo.

OLGA: Tatusiu, daruj. Kolesnikow przyjechał. On chce koniecznie widzieć ciebie.

TAŁANOW (z niezadowoleniem): Dzwonił do mnie do polikliniki. Proś. (do syna) Z nim mam rozmowę króciutką. Popal sobie w kąciku.

FIODOR: Nie chciałbym się z nim spotkać. Czy kuchenne wyjście nie zabite?

OLGA: Zajdź tymczasem za kotarę. On bardzo się śpieszy. To nie długo.

Fiodor udaje się za kotarę. Olga otworzyła drzwi. Tatuś prosi was, towarzyszu Kolesnikowie. (Ow wchodzi w kurtce i już z pistoletem na rzemieniu u pasa. Tak samo ma czoło duże, wysoki i przypomina czymś Fiodora, który z za kotary słucha rozmowy).

KOLESNIKOW: Ja po was, Iwanie Tichonowiczu. Maszyna pod bramą, dwa przyrzeczone miejsca wolne (szukając oczyma). A dużo u was nagromadziło się rzeczy?

TAŁANOW: Nie zmieniłem postanowienia. Nigdzie nie jadę, moi drodzy. Tutaj będę potrzebny.

KOLESNIKOW: Wiedziałem, że to powiecie, Iwanie Tichonowiczu.

OLGA (cicho, nie patrząc na nikogo): Czasu niewiele, niebo jasne, zaraz będzie nalot.

TAŁANOW: A więc pośpieszajcie. Nie zdążycie mostu przejechać. No... żegnajmy się!

Kolehnikow nie wyciągnął ręki w odpowiedzi. Przecież i wy wyjedziecie?

KOLESNIKOW (zwlekając): Nikt nas nie styszy... z sąsiedniego mieszkania?

TAŁANOW: W sąsiedztwie naszym — piekarnia. Olga chce odejść.

KOLESNIKOW: Wy nam nie przeszkadzacie, Olgo. (Do Tałanowa) Rzecz w tym, że... ja sam zatrzymam się w mieście na pewien czas. Jestem członkiem partii i pókim żyw...

TAŁANOW: A widzicie! (w ten sam ton) Ja także nie jestem żadną skrzynią z manufaktura, ani dziełem sztuki. Ja się w tym mieście urodziłem. Stałem się jego rzeczą... (dla Fiodora) jak jego sikawka pożarna. I w tym stopniu przydatności widzę specjalny zaszczyt dla siebie. Przez te 30 lat z okładem, przez moje ręce przeszło pół miasta w czasie porodów...

KOLESNIKOW (uśmiechając się): I ja!

TAŁANOW: I wy. Pamiętam czasy, kiedy wasz ojciec był stróżem u nieboszczyka kupca Fajunina. (Ironicznie) Postarzeliście się od tego czasu, muszę wam powiedzieć. Mało na nartach jeździcie.

KOLESNIKOW (spojrzawszy na Olgę): No, teraz będzie czas jeździć na nartach.

(Fiodor potrącił grzebień Olgi na stoliku. Grzebień upadł. Kolesnikow nastraszył się). Nas ktoś tam słucha, Iwanie Tichonowiczu.

TAŁANOW: Nie... nikt.

Kolesnikow zauważył płaszcz Fiodora, i milcząc podniósł oczy na Tałanowa. W tej samej chwili Fiodor wychodzi z za kotary.

FIODOR: Nikt — to najwidoczniej ja. Jak mówi się w powieściach, ze ściany wyłoniło się widmo w średnim wieku. Guten Abend, panowie szlachta!

TAŁANOW (z zażenowaniem): Nie znacie się? To Fiodor. Syn.

FIODOR: Kiedyś to spotykaliśmy się z obywatelem Kolesnikowem. W dzieciństwie nieraz nawet bijaliśmy się. Pamiętacie?

KOLESNIKOW: To prawda. U nas, w rzemieślniczej, nie lubiono gimnazistów. (Z wyrzutem do Tałanowa) Nie pojmuję tylko... co złego w tym, że syn po długiej rozłące odwiedził ojca.

FIODOR: No, po pierwsze, to synek. A po drugie — jest to pas przyfrontowy. Może on ci bez przepustki z pociągu tak ze sto kilometrów, boczkiem, tymi mokradłami... z ukrytymi zamiarami przedostał się tutaj?

OLGA: Czemu ty nas drażnisz, Fiodorze, i czym ty nas drażnisz!

KOLESNIKOW: Naprożno się oczerniacie. Potknęliście się, to prawda... Ale wypuszczono was, znaczy, społeczeństwo znowu wam ufa.

FIODOR: Tak myślicie? Aha. Więc..., Ot, bąknęliście przed tym, że pozostajecie w mieście. Rozumie się, z gromadką wiernych towarzyszy. Jak to się mówi, — bywajcież nam, prosimy grzecznie, przyjaciele niemieccy, na rohatynkę rosyjską. Pif — paf! A więc, czy nie zechcecie wziąść do siebie do oddziału takiego jednego... naprawionego człowieka? Prawda, że nie ma on solidnych rekomendacji, ale... (twardo i w oczy) on będzie spełniał wszystko. I śmierci się nie lęka: on z nią w objęciach trzy lata sypiał. (Kłopotliwe milczenie).

Nie nadaje się?

KOLESNIKOW: Ja pozostaję tylko do jutra. Tak samo opuszczam miasto.

FIODOR: Jasne (gładząc wąsiki). Nie dlatego więc tak uparcie namawiacie ojca... żeby dał stąd drapaka?

TAŁANOW: Proszę cię, ażebyś był grzeczny dla moich przyjaciół, Fiodorze.

KOLESNIKOW: Ja mu odpowiem. Iwan Tichonowicz dał ludziom siebie całego. Do niego przyjeżdżają nawet z sąsiednich rejonów. Myśmy go chcieli uchronić przed niebezpieczeństwami. A tutaj będzie dość hałaśliwie, tu ożywać będą wszelakie nieboszczyki, już dziś wynurzają się z podziemi łebki wężowe.

FIODOR: Więc znaczy, że dla mojej siostry naprzykład, ten hałas jest pożyteczny?

OLGA: Ja zostaję ze szkołą, Fiodorze.

FIODOR (ręce w kieszeniach, i zlekka huśtając się): A czy to nie prościej? Niemcom potrzebne będą różne osoby, na różne stanowiska...

OLGA (z aluzją, ostro): Boję się, że już znaleźli ich, Fiodorze.

KOLESNIKOW: Kończcie waszą myśl. Matka czeka mnie w aucie.

FIODOR: A nie obawiacie się, że ojciec tu głupstwa, palnie bez waszego doglądu?

KOLESNIKOW: Jesteście rozżaleni, ale nieszczęściu waszemu samiście tylko winni. Poza tym nie mam czasu wnikać w wasze wezbrania duchowe. Innym razem. Do widzenia, Iwanie Tichonowiczu!

(Uścisnęli się obaj, Kolesnikow rzucił spojrzenie na Olgę).

OLGA (cicho): Przeprowadzę was do auta.

KOLESNIKOW (do Fiodora): Z całej duszy życzę wam, abyście sobie znaleźli miejsce w życiu.

FIODOR (falsetem): Merci-!

(Olga wychodzi za Kolesnikowem).

TAŁANOW: Dogoń i przeproś, Fiodorze.

FIODOR: Doktór Tałanow nigdy nie grzmocił swoich dzieci. Czy z latami poglądy jego na wychowanie uległy zmianie?

(Tałanow znużony przymknął oczy. Wróciła Olga. Trzęsąc się, rękoma obejmuje głowę).

OLGA: Gwiazdy, gwiazdy... I zdaje się, już lecą —

FIODOR (głosem napółwinnego, do ojca): Słuchaj, czyż naprawdę jeszcze teraz go się boisz? O ile rozumiem się na artylerii, to ta armata już nie strzela.

TAŁANOW: Teraz już znam twoją chorobę. To samolubstwo, Fiodorze.

(Niedobrze mu. Chwytając się brzegu obrusa, opada na fotel. Olga skoczyła ku niemu).

OLGA: Ojcze, tyś chory?... Czy wody dać ci, tatusiu?

(Diemidiewna, wchodząc z kolacją, śpieszy jej pomóc).

Tylko cicho, cicho, żeby mama nie słyszała...

(Ledwo zdążyła podać mu wody i podsunąć poduszkę pod głowę, gdy wchodzi Anna Nikołajewna).

Mamo, już tatusiowi lepiej. Już ci lepiej, tatusiu?

dzieci, dzieci...

DIEMIDIEWNA (do Fiodora): Ruszaj tymczasem! (bardzo cicho) Po tym zastukaj, wpuszczę ciebie.

Przez ramię niańki Fiodor patrzy wciąż na ojca i krzątające się wokół niego kobiety. Zdaje się, nie może uwierzyć, że drobiazgi takie mogą wywołać takie następstwa.

OLGA (podchodząc do Fiodora): Naprawdę, lepiej byś odszedł teraz. Ojciec wcześnie wstaje, pracy masę..., bardzo się męczy.

FIODOR (biorąc płaszcz): Ja nie wiedziałem. Ola, co to... twój narzeczony? Daruj!

OLGA (z goryczą): I to wszystko, coś pojął z całego wieczora, Fiodorze?

(Zdaleka, wciąż wznosząc się i wzmagając, dochodzi sygnał alarmu lotniczego. Fiodor słucha, podnosząc głowę, po czym wychodzi przez nikogo nie odprowadzany. Milczenie. Siadłszy za stołem, i zasłoniwszy uszy rękoma, Olga zabiera się do poprawiania zeszytów).

ANNA NIK (do męża): Do ciebie, Kokoryszkin, z papierami. Poproś go, Diemidiewno.

DIEMIDIEWNA (do kuchni): Właź, bibuło urzędowa. Wysechł, patrzcież, tam pod piecem. Wychodzi. Na jej miejscu ukazuje się Kokoryszkin, i już idąc wydostaje kałamarz z kieszeni.

TAŁANOW: Przetrzymałem was, Kokoryszkinie.

KOKORYSZKIN: Et, głupstwo, za to pomarzyło się w spokojności.

ANNA NIK: A o czym to wam się marzy? (z bólem) Nie o synu aby?

KOKORYSZKIN: Moje marzenia więcej z branży wiejskiego gospodarstwa (grzebiąc w teczce). Dyoklecjan — król odeszedł od spraw państwowych do sadzenia kapusty. — Do Illiryi (Podniósłszy palec). Takie straszne głowy wyhodował. (Podając papier). O przeprowadzeniu środków obrony.

TAŁANOW: To o kursach sióstr medycznych? (Podpisując). Ależ to dzień był, Aniu... I przed nami było wszystko śnione, marzone. I właśnie egzamin zdajesz, jesteś w płaszczu majowym. I grałaś wtedy... zapomniam już... co...?

ANNA NIK, podchodzi do pianina. Jedną ręką, na stojąco odtwarza prześliczną frazę muzyczną. I dalej, dalej. Jest tam miejsce, gdzie wdziera się wiatr i nadzieja.

Wtedy Tałanowa siada i gra z całą mocą. Milcząc, Kokoryszkin podaje, a Tałanow podpisuje papier.

KOKORYSZKIN: I ostatni, Iwanie Tichonowiczu. Słychać wybuch bomby i drugi, bliżej... Muzyka trwa dalej. To walka dwu przeciwnych sobie żywiołów. Kiedy bohaterska melodia zapełnia wszystko, następuje trzeci, zupełnie bliski wybuch. Drżą szkła i rumor zawalenia. Światło gaśnie. Z rozmachu Anna Nikołajewna zdąża zagrać dwa następne takty. Po tym cisza.

Atramentu nie wylejcie, Iwanie Tichonowiczu. Czekajcie, ja wam zapałkę zaświecę.

ANNA NIK.: Olu, zapal lampę. Na oknie stała. Błysnęła zapałka. Olga już u okna. Ogromne cienie kołyszą się na ścianach. Krótka strzelanina i niezrozumiały hałas od ulicy. Lampa rozpala się słabo. Wszyscy na nogach. Portret Fiedi leży na podłodze. I jakgdyby nastąpił już wieczór inny innego świata. Diemidiewna z ogarkiem wchodzi z kuchni.

OLGA: Przynieś miotłę, Diemidiewno, szkło wymieć, Fiedia upadł.

Diemidiewna wychodzi. Słaby szmer u drzwi. Teraz dopiero Tałanowie zauważają na krześle obok wyjścia nieznajomego staruszka z sękatą pałką między kolanami. Uśmiecha się on i kiwa, kiwa łysą głową, to jak gdyby witając się, to jakby prosząc o jałmużnę i schronienie.

TAŁANOW (z przyzwoitej odległości): A ty jakeś tu się dostał, ojczulku?

STARZEC: Ze strachu wczołgałem się gospodarzu. Niebiosa się ruszyły. Olga podnosi lampę bliżej. Gość ma brudne spodnie i takąż bundę; worek i stare czapczysko leżą u jego nóg. Jakgdyby wietrząc Kokoryszkin ze wszystkich stron mierzy oczyma staruszka.

OLGA: A ty skądżeś, staruszku?

STARZEC: Wędruję jak Łazarz... w płachtach, w których mnie pochowano. I masz ci, ta płyta grobowa wyziera za mną w ślad. (I stukając pałką drewnianą takim wzrokiem ostrym spoziera w kąt, że wszyscy mimowoli zwrócili tam spojrzenia). Czego, czegoże bebechy wyrzygła, ty, wdowo kamienna!

ANNA NIK. (półgłosem): Napewno chory... na wizytę do ciebie się przywlókł.

TAŁANOW (już głosem zawodowym): I oddawna wędrujesz tak, ojczulku?

STARZEC: Ano jak? Rozum to chciwy, niemiłosierny, szesnaście rok, rok, a nogi pojękują — trzysta, trzysta. Tak i wlokę się.

OLGA: Więc tyś nie tutaj się przywlókł, gdzieś miał, dziadku?

STARZEC: Dom ci Fajuninowy?

TAŁANOW: Dom to Fajuninowy, ale tobie placem trzeba. Numeru nie pamiętam, tak samo byłego kupca Fajunina dom. I tam mieszka doktór, niby jak ja, z bródką. On to właśnie specjalista od wędrownych. Do niego się udaj.

ANNA NIK. (półgłosem): Niechaj przeczeka, póki się nalot nie skończy.

STARZEC: Dzięki ci, Anno Nikołajewno, za twoją litość.

ANNA NIK.: A wy skąd mnie znacie?

STARZEC: Może i we śnie mignęłaś mi nienaumyślnie. Ot, fotelisko stoi, mięciutkie... o i fotelik śnił się nie raz. Ma on jeszcze od spodu ślad od spalenia.

OLGA: Żadnego śladu tam nie ma, mylicie się...

STARZEC: Jest, córo, jest... Sen był taki: pierścioneczek potoczył się, a stróż świeczką pod spód. O mało pożaru nie wzniecił.

TAŁANOW: Ja takiego zdarzenia nie pamiętam.

STARZEC: A dajno, zajrzymy, Tichonie Iwanowiczu. A potrzymajno gospodienko. (do Kokoryszkina). Pomóż że, frybro żaba.

We dwóch z Kokoryszkinem przewracają fotel na bok. Na podbiciu widać wyraźnie duży znak od spalenia... Tałanowowie spojrzeli po sobie.

Ciebie, córo, jeszcze na świecie nie było, a rzecz ta już stała w kantorze u Nikołaja Siergieicza Fajunina.

I coś w stosunkach wzajemnych zmienia się zdecydowanie. Kokoryszkin z powagą i czołobitnością kłania się starcowi.

KOKORYSZKIN: Witajcież, Nikołaju Siergieiczu. Wymęczyłim się oczekiwaniem. Stało się, znaczy?

STARZEC: A, zaczekaj, zaraz zobaczym.

Rzeźki, nawet odmłodniały, podchodzi do staromodnego aparatu telefonicznego i długo kręci korbą.

Stacja, stacja... (władczo). Ty czego to, turkawko tak długo nie podchodzisz do telefonu? Tu burmistrz miasta, Fajunin mówi. A ty się nie trzęś, nie ugryzę. Milicję! Którabądź dawaj (znowu kręcąc korbkę). Milicja, milicja... Oj-jej, coś władzy nie słychać!

KOKORYSZKIN (wyginając się cały i łasząc do Fajunina): Może ze strachu w kałamarze powłazili, Nikołaju Siergieiczu? Cha-cha!

Fajunin wiesza słuchawkę i przeżegnuje się z powagą.

FAJUNIN: Nowe lata nasze. Pobłogosław nam, Panie.

Teraz już i poprzez mocne mury kamienne przenika trzask salw karabinów maszynowych, krzyki i szczęk nacierającego żelaza. I odpuść słudze twojemu, Panie, wedle słów Twoich. Jako widzą oczy moje...

Jego beznamiętne mamrotanie zagłusza ostry brzęk szkła. Z zewnątrz wyważono ramę kolbą. Kotara upada. W prostokącie nocnego okna — wykrzywieni wściekłością walki, oświetleni z boku łuną — ludzie w kaskach. Poprzez snujący się dym, zaglądają do środka. To — Niemcy.

Koniec aktu I-go.



Dziewczęta radzieckie wypoczywają w sanatorium dla młodzieży. Tak wygląda zima na Krymie!

KRONIKA KULTURALNA

Kompozytor radziecki Iwannikow w redakcji „Kultury"

Redakcję naszą odwiedził wybitny kompozytor radziecki, Włodzimierz Iwannikow, któremu towarzyszył z ramienia Min. Kultury i Sztuki prof. A. Chromiński, prezes Związku Muzyków wojew. warszawskiego. Zapytany o wrażenia z Warszawy, skąd przybył bezpośrednio, gość nasz wyraził podziw dla dzielnej i pełnej optymizmu postawy narodu polskiego, dla rozkwitu życia kulturalnego na ruinach. Szczególnie zwrócił uwagę na obfitość koncertów, słuchowisk wokalnych itp. w Warszawie. Kraków bardzo mu się podobał dzięki swej architekturze, wspaniałym pomnikom przeszłości i żywej tradycji; Wawelu jeszcze nie zwiedził, toteż uderzyło go może najbardziej potężne piękno kościoła Mariackiego, wzruszył tradycyjny hejnał. Właśnie na koncercie kolęd bardzo zajęła go jedna z nich, oparta na motywie hejnału.

Pan Iwannikow, przybył do Polski, jako pierwszy kompozytor radziecki, i wielki przyjaciel Polski, autor około 50-ciu kompozycyj, opartych na tematach pieśni polskich, przede wszystkim ludowych, które czerpał zarówno z naszej literatury muzykologicznej i etnograficznej (począwszy od Kolberga), jak i bezpośrednio z ust Polaków. Sharmonizował m. in. szereg pieśni ludowych, słyszanych od żołnierzy-Kościuszkowców. Kompozytor pragnie zaznajomić społeczeństwo radzieckie z twórczością muzyczną ludu polskiego.

— Co zbliżyło Pana tak bardzo do naszego narodu i jego kultury?

— Matka moja była Polką. W domu naszym panował kult Szopena, stąd poznanie i ukochanie narodu polskiego. Poza tym w Związku Radzieckim daje się zauważyć bardzo silne zainteresowanie muzyką polską, której poświęcono na terenie kraju około 180-ciu koncertów. P. Iwannikow zamierza komponować oratorium na temat polskiej martyrologii, z librettem Jarosława Iwaszkiewicza.

We wtorek, 15 bm., odbył się w Krak. Związku Kompozytorów Polskich koncert, na którym wykonane zostały utwory kompozytorów polskich i rosyjskich, m. in. Iwannikowa. W tych dniach odbędzie się w Krakowie koncert złożony w całości z utworów kompozytora.

Znakomity gość po zwiedzeniu Krakowa wybiera się do Zakopanego i Katowic.



Generał Eisenhower zwiedza galerię Tretiakowską w Moskwie

ZAINTERESOWANIE POLSKĄ LITERATURĄ DRAMATYCZNĄ W MOSKWIE

Moskwa (PAP). Radzieckie koła teatralne żywo interesują się polską literaturą dramatyczną. Ostatnio przełożona została na język rosyjski sztuka Jarosława Iwaszkiewicza „Lato w Nohant". Przekładu dokonała Maria Modzelewska.

W tych dniach odbyła się publiczna dyskusja nad tym utworem, z udziałem przedstawicieli moskiewskich kół teatralnych, a także reżyserów teatru Wachtangowa, teatru Mossowietu i innych. Wieczór był zorganizowany przez komisję do spraw teatru słowiańskiego przy Wszechświatowym Towarzystwie Teatralnym.

TUWIM PO ROSYJSKU

Moskwa (PAP). Ostatni numer miesięcznika „Nowyj Mir" zamieścił kilka wierszy Juljana Tuwima, w przekładzie znakomitego poety radzieckiego Mikołaja Asejewa.

CZASOPISMO „KOBIETA RADZIECKA"

Moskwa (PAP). Ukazał się pierwszy numer Czasopisma Społeczno-Politycznego i Literacko-Artystycznego pt. „Sowieckaja Zenszczyna" (Kobieta radziecka) — organ antyfaszystowskiego Komitetu Kobiet Radzieckich i Centralnej Rady Związków Zawodowych ZSRR. Pismo wydawane jest w językach: rosyjskim, angielskim, francuskim i niemieckim.

Sprawa mieszkaniowa



1. Iwan Iwanicz wygrał sprawę o zwolnienie należącego doń pokoju, zajętego przez Piotrà Piotrowicza — Wygrałem! triumfująco powiedział do żony.



2. — Przegrałem — smutnie oświadczył swej żonie Piotr Piotrowicz. — Ale będziemy skarżyć.



3. Iwan Iwanicz wygrał sprawę i w 2-giej instancji. — Znowuśmy wygrali — ze słabym uśmiechem zwrócił się do żony.



4. — Znowuśmy przegrali! — rzekł do swej małżonki Piotr Piotrowicz i dodał dziarsko — Ale będziemy skarżyć.



5. — Wygraliśmy — jęknął wychudzony Iwan Iwanicz, w pół roku po decyzji 3-ciej instancji.



6. — Przegraliśmy! wesoło rzekł Piotr Piotrowicz. — Wszystko idzie jak z płatka! Będziemy skarżyć.



7. — Wygraliśmy! — wyłkał 2 lata po tym Iwan Iwanicz.



8. — Przegraliśmy! — triumfująco wykrzyknął Piotr Piotrowicz. — Mieszkamy!

9. I rzeczywiście Piotr Piotrowicz po dawnemu mieszka w zajętym bezprawnie pokoju Iwana Iwanicza, a Iwan Iwanicz po dawnemu wygrywa sprawę o zwolnienie pokoju bezprawnie zajętego przez Piotra Piotrowicza.

„Krokodyl"

Wymowa cyfr

Statystyka rozpowszechnienia literatury w ZSRR jest niesłychanie wymowna. Świadczy nie tylko o wciągnięciu do kultury najszerszych mas, ale i o szybkim podniesieniu kultury narodów Rosji Radzieckiej. Oto np. dane Wszechzwiązkowego Urzędu książkowego, o wydaniu klasyków rosyjskich, w językach narodów ZSRR. W Związku Radzieckim od 1917 do 1945 r. utwory Puszkina wydane zostały w 72 językach, nakładem przeszło 31 i pół miliona egz. Drugie miejsce pod tym względem zajmuje Gorkij, którego utwory wydrukowano w 66-u językach.

65 narodów ZSRR czyta we własnej mowie utwory Lwa Tołstoja. Księgi Czechowa, wydane zostały w 57-u językach, Lermontowa w 50-u, Majakowskiego w 44-ch. Po tym następują dzieła Turgieniewa, drukowane w 39-u językach, Gogola 34-ch, Szewczenki w 33-ch.

Do roku 1917 utwory Niekrasowa ukazywały się jedynie po rosyjsku, a dziś znajdujemy wydania poety w 29-ciu językach. Utwory Saltykowa-Szczedrina — w 26-ciu, A. Ostrowskiego w 17-u Utwory M. Szołochowa wyszły w 51 językach, w ilości bez mała 15 miln. egz. Książki A. Ostrowskiego ukazały się w liczbie 4 i pół miln. egz. w 6-ciu językach.

Dzieła A. Tołstoja wydane zostały w czasie władzy radzieckiej w liczbie blisko 11 i pół miliona egz. w 38 językach.

Z kolei następują utwory K. Simonowa, które wyszły w 21 językach, ogólnym nakładem około 10 milionów egz. I. I. Erenburga, wydrukowane w liczbie 318 tys. egz.

„Nauka nienawiści" i „Walczyli za ojczyznę" M. Szołochowa, po dzień 1-go stycznia 1945 ukazały się w 41-u wydaniach, pierwsza — w 21-u językach, druga w 5-ciu. „Śmiałkowie" A. Tołstoja, miały 35 wydań w 17-u językach i rozpowszechnione zostały w kraju w 2.721 tys. egz. „Dusza morska" M. Sobolewa, miała 17 wydań.

Wyjątkowo znaczny, jak dla poezji nakład, miały wiersze wojenne K. Simonowa, które wyszły na świat w 5-ciu wydaniach, ogółem 665 tys. egz.

Niezwykle wysoki nakład miały sztuki „Rosjanie" K. Simonowa i „Front" A. Kornejczuka. Pierwsza miała 18 wydań w 7-u językach i w ogólnej liczbie 637 tys. egz., druga 15-cie wydań w 5-ciu językach, w liczbie 417 tys. egz.

W kilku językach narodów ZSRR tak samo znacznymi nakładami wyszły szkice wojenne W. Grossmana, „Tęcza" i „W chałupie" W. Wasilewskiej „Oczy" W. Ilienkowa, „Domek na wzgórzu" M. Kawierina, „Sztandar" W. Katajewa, „Na własne oczy" F. Panfierowa, „Chytra dziewczynka" S. Siergiejewa-Cienskiego. „Marzec-Kwiecień" W. Kożewnikowa i in.

(„Nowyj Mir")

UROCZYSTOŚĆ MICKIEWICZOWSKA W MOSKWIE

Warszawa (PAP). Z powodu przeszkód technicznych, nadeszły z opóźnieniem uzupełniające szczegóły uroczystości, jaka odbyła się we Wszechzwiązkowym Towarzystwie Łączności (WOKS) w Moskwie, zorganizowanej z okazji 90-lecia rocznicy zgonu Adama Mickiewicza.

Po przemówieniach przedstawiciela WOKS-u, ob. Kemenowa, wybitnego slawisty, prof. Blagoja oraz po krótkim, lecz w serdecznym tonie utrzymanym przemówieniu przedstawiciela Komitetu Wszechsłowiańskiego, gen. Gundurowa, zabrał głos ambasador R. P., prof. Raabe. Mowca złożył gorące podziękowanie inicjatorom uroczystości oraz tym wszystkim, którzy w niej wzięli udział i w przemówieniach swych dali należytą ocenę historycznej roli, jaką odegrał genialny poeta polski — roli przewodnika wielu pokoleń, walczących za wolność i niepodległość narodu polskiego. Ambasador wyraził nadzieję, że wieczór ten otworzy nową kartę w dziejach zbliżenia kulturalnego między Polską i ZSRR.

Po przemówieniu tym wybitny poeta rosyjski Mikołaj Asiejew odczytał fragmenty własnego przekładu „Konrada Wallenroda" i „Pieśni Filaretów".

W części koncertowej znana pianistka Nina Jemieljanowa, laureatka międzynar. konkursu Chopinowskiego w Warszawie, odegrała „Nocturn" i „Poloneza" Chopina, a mistrz recytacji Szwarc odczytał puszkinowskie przekłady „Wojewody" i „Trzech budrysów" Mickiewicza.

Wieczór, który przybrał charakter manifestacji zbliżenia kulturalnego polsko-radzieckiego, nacechowany był atmosferą wyjątkowej serdeczności i uczuć przyjaźni.

WYKOPALISKA ARCHEOLOGICZNE NA KRYMIE

Moskwa (PAP). Na Krymie pracowała w ciągu 2-ch miesięcy ekspedycja archeologiczna Państwowego Muzeum Sztuk Plastycznych im. Puszkina i Instytutu Historii Kultury Materialnej im. Marxa.

Badania prowadzono w pobliżu Symferopola, gdzie przed 120 laty archeologowie znaleźli posąg scytyjskiego króla Skurula. W rejonie tym znajdowało się niegdyś główne miasto Scytów — Neapolis.

Ekspedycja obecna znalazła fundamenty gmachów miejskich, szczątki murów obronnych oraz spichrzów zbożowych. Odkopano też grobowce scytyjskie, gdzie znaleziono wzory monumentalnego malarstwa scytyjskiego. Na drodze między Symferopolem a górami Aju-Dag ekspedycja znalazła nadto ślady jeszcze innych miast scytyjskich, nieznanych dotychczas archeologom.

MUZEUM TEATRALNE W MOSKWIE

Moskwa (PAP). Po czteroletniej przerwie w związku z ewakuacją zbiorów muzealnych w Moskwie, otwarto dla publiczności muzeum teatralne imienia Bahruszyna. Zbiory muzeum zawierają około 300.000 eksponatów, w tej liczbie około 20.000 samych tylko szkiców dekoracyj teatralnych. Znajdują się tu poza tym tysiące rękopisów i autografów, duży zbiór fotografij, bogata biblioteka, posiadająca rzadkie wydania z dziedziny teatrologii od XVIII wieku itd.

O ŻYCIU TEATRALNYM MOSKWY

Warszawa (PAP). Przybyła do Polski Natalia Szydłowska, doradca artystyczny Zarządu Głównego Związku Patriotów w Moskwie, na zaproszenie Dyrekcji Teatrów: Polskiego w Warszawie, Teatru Starego w Krakowie i Teatru Wojska Polskiego w Łodzi. Wygłosiła w tych teatrach referaty o systemie nauczania w radzieckich szkołach, instytucjach teatralnych oraz o życiu teatralnym w Moskwie.

RADZIECKIE BADANIA ARCHEOLOGICZNE NA GÓRZE MITRYDAT

Moskwa (PAP). Do Moskwy powróciła ekspedycja, która przeprowadziła prace wykopaliskowe na Górze Mitrydat. Było to miejsce starożytnego osiedla, na którym znajdował się Akropol greckiej Pantikapei.

Ekspedycja miała za zadanie zbadać uszkodzenia Mitrydatu, spowodowane przez Niemców w czasie wojny, jak również w związku z planowaną odbudową Kerezu ustalić granice rezerwatu archeologicznego.

W czasie przeprowadzania tych prac odkryto nowe, bardzo cenne, nieznane dotąd budowle, napisy i przedmioty artystyczne.

Na północno-wschodnim zboczu Mitrydatu natrafiono na resztki monumentalnego gmachu z kolumnami w stylu jońskim, wykonane z miejscowego wapniaka. Na wschodnim zboczu góry odkryto ścianę, podpierającą Akropol Pantikapejski. Ściana zbudowana jest z kamieni różnego kształtu i rozmiaru. Budowa jej pochodzi z okresu walk ze Scytami I—II wieku przed Chrystusem. Obok Mitrydatu znaleziono szczątki domu, oraz odkopano 7 wielkich spichrzów. W czasie dalszej pracy znaleziono ogromną ilość różnorodnych przedmiotów świadczących o ścisłych związkach Pantikapei z miastami greckimi oraz dzieła miejscowej sztuki i wzory rzemiosła artystycznego.

Redaguje Komitet. — Nakładem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w Krakowie — Adres Redakcji i Administracji: Kraków, Batorego 14. Drukarnia 1 pod Zarządem Państwowym w Krakowie, ul. Wielopole 1.
M—08028